

w W. Brytanii ...	1 sh.
w Austrii ...	1.50 Sch.
w Belgii ...	25 fr. fr.
w Francji ...	5 fr. b.
w Holandii ...	40 cent.
w Niemczech ...	50 Pf.
w Portugalii ...	2 esc.
w Szwajcarii ...	40 rp.
w Szwecji ...	75 öre
w Włoszech ...	40 lir.
w Brazylii ...	3.5 Cr.
w Australii ...	1.50 peso
w Argentynie ...	15 cent.
w Kanadzie ...	15 cent.
w Stanach Zjedn....	15 cent.



„WHITE EAGLE“ Registered at the G. P. O. as a newspaper, October, 21st 1950, Price 1 sh.

ORZEŁ BIAŁY

Polska walcząca o wolność

ROK X SOBOTA, 21 PAŹDZIERNIKA 1950 R. Nr. 42 (433)

W 433 NUMERZE:
 Kapitanowie i szczyry — S. Klin-
 ga
 Sezon polityczny we Francji —
 Gamma
 Intermezzo IV — Weronika Hort
 (Hanka Ordon-Tyszkiewicz-
 wa)
 Encyklika o irenizmie — X. W.
 Meysztowicz
 Zjazdy partji brytyjskich — Pa-
 weł Zaremba
 Żniwa — Feliks Lubicz
 Targ niewolników — Jan Ku-
 nert
 Człowiek, który jest mocarstwem
 Walter 7,65 — J. Jasieńczyk

POBYT GEN. ANDERSA W ST. ZJEDN.

WRAŻENIA I REFLEKSJE

New York, 11 października.

Pierwsza faza pobytu gen. Władysława Andersa w St. Zjedn. minęła w ubiegłą niedzielę 8 października po wspaniałej i wzruszającej manifestacji w Detroit, gdzie dwaj naczelni wodzowie polscy z okresu drugiej wojny, w otoczeniu wysokich reprezentantów administracji amerykańskiej, stanęli przed tysiącami tłumami Polonii i wygłosili wielkie przemówienia określając w nich polskie stanowisko wobec najważniejszych zagadnień bieżącego okresu.

Przedtem gen. Anders przybył do Waszyngtonu i do New Yorku. O ile trudno w tej chwili, na dwa tygodnie przed zakończeniem podróży Generała, sumować jej wyniki na odcinku ściśle amerykańskim, o tyle wolno już zanotować pierwsze wrażenia z odcinka polsko-amerykańskiego, który nie jest obojętny ani dla spraw czysto polskich, ani dla stosunku czynników amerykańskich do naszego zagadnienia.

Nie będę się wdawał w opisy przyjęcia, jakiego doznał Generał ze strony Polonii amerykańskiej. Wizyta zwycięzcy spod Monte Cassino, byłego więźnia sowieckiego, który wyprowadził żołnierza polskiego z Rosji Sowieckiej, by go wieść po szlakach bojów i znaczyć krwią prawa polskie do wolności — jest dla Polonii niecodziennym przeżyciem. Tym mocniejszym, że po latach wielkiego przynębnienia i osłabienia wiary, zapałów i energii, po latach dywersji i zamieszania — po raz pierwszy od roku 1945 stanął przed Polonią na amerykańskiej ziemi przybyły zza Oceanu reprezentant tych żywych sił narodu polskiego na migracji, którego nazwisko związane jest nie tylko ze zwycięskim marszem polskim na ziemi włoskiej i z czynnym tam braterstwem broni naszego żołnierza z wojskami demokracji Zachodu tak niegodnie potem zdradzonym, ale że znalazł się tu w osobie gen. Andersa autorytet, który wielokrotnie, publicznie i jasno potwierdził, którego wiedzie droga polskiego przeznaczenia i polskiej, prawdziwie niezależnej polityki. Gdyby jedynym osiągnięciem tej podróży w obecnym czasie było tylko przywrócenie równowagi tej polskiej prawdzie na terenie amerykańskim — podróż byłaby celową, potrzebna i skuteczna.

W New Yorku gen. Anders zetknął się trzykrotnie z Polonią i z Polakami na publicznych zebraniach: na „Paradzie Pułaskiego“ i tradycyjnym bankiecie urządzonym z okazji „parady“, na odczyty swoim w nowojorskim Instytucie Naukowym i wreszcie podczas obiadu żołnierskiego wydanego na cześć Generała przez wszystkie polskie i polsko-amerykańskie organizacje kombatanckie w New Yorku.

Manifestacje te nie tylko skupiły wielkie masy ludzkie, a „parada Pułaskiego“ maszerująca przez Fifth Avenue w ciągu pięciu godzin bez przerwy stała się defiladą sił polskości, jakiej tu jeszcze nigdy nie widzieliśmy, ale i w Detroit w ostatnią niedzielę dziesiątki tysięcy ludzi noszących w piersiach polskie serca — swoją absolutnie solidarną, niezmiernie zafascynowaną postawą, aprobatą udzieloną deklaracjom Generała, który do nich mówił, stwierdziły, że reprezentują jeden front nie tylko w ogólnych uczuciach patriotycznych, które nigdy nie mogły budzić wątpliwości, ale także i bez żadnych niedomówień w zagadnieniach natury szczegółowej, programowej i ideowej.

Gen. Anders twardo, niezmiernie i z całym naciskiem powtarzał wstęp-

nie, w każdym przemówieniu, że sztandary polskie i kierownictwo sprawy i polityki polskiej znajduje się w rękach konstytucyjnego Prezydenta Rzeczypospolitej Augusta Zaleskiego i ilekroć to oświadczył, na salach zrywała się burza oklasków potwierdzająca całkowitą zgodę z tym stanowiskiem. Jeśli stwierdzić, że na manifestacje te przybyli wszyscy bez wyjątku, którzy stanowią trzon i najbardziej dojrzały i wartościowy element wśród Polonii, czynnie biorący udział w jej życiu i najlepiej oddający jej nastroje i poglądy, to można tę zupełnie żywiołową reakcję tłumów słuchających przemówień Generała wygłaszanych spokojnie, bez podniecenia i gorączki towarzyszącej zazwyczaj publicznym występom tego rodzaju — uznać za wielki, nieodwracalny plebiscyt, w którym wypowiedziało się rzeczywiste, niesfalszowane wola i myśl społeczeństwa. Żadne próby przeinaczenia tego zjawiska i żadne frazesy wygłaszane pokątnie nie zmieniają tej wyraźnej oczywistości. Można się było spodziewać, że po latach bałamuctwa uprawianego bezkarnie przez różne czynniki na tutejszym terenie ta pozytywna reakcja na rzecz prostych zasad politycznych życia polskiego będzie nie tak żywiołowa i nie tak ogólna i nie tak jednolita. Pesymizm w tej sprawie, jeśli istniał, okazał się nieuzasadniony.

Ilekróć gen. Anders powiedział o zdrajcach, a mówił o nich także w prawie wszystkich swoich mowach, nie szczędząc w tym zagadnieniu żadnej wątpliwości, kogo tym mianem piętnuje publicznie i bez miłosierdzia, tłumy aprobowały także to potępienie i odgródzenie się od hańby.

W Detroit na uroczystości „parady Pułaskiego“ obaj naczelni wodzowie z okresu drugiej wojny, gen. Sosnkowski i gen. Anders stanęli wspólnie obok siebie i obaj przypomnieli prawo Polski. Kiedy gen. Anders przywitał tysiączne tłumy starym, polskim „Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus“ — sala zaszlochała. Pierwszy mówił gen. Anders po polsku, następnie zabrał głos gen. Sosnkowski wygłaszając po angielsku wielką mowę polityczną, która przykuła uwagę. Solidarność obu naczelnych wodzów była pokrępiającym źródłem jedności, która złączyła Polaków na tym potężnym zebraniu i pójdzie na to pewno echem powszechnym i dalekim po wszystkich zakątkach świata, gdziekolwiek znajdują się skupiska polskiej walki o niepodległość, wierne idei żołnierza polskiego. Nie tylko tego, który był się w Tobruku, pod Monte Cassino czy Falaise, ale także tych, co byli w Kraju w Podziemiu i tych, co pierwsi stawili opór przemocy we wrześniu. Obiad żołnierski w New Yorku był właśnie mocną manifestacją solidarności i jedności wszystkich żołnierzy, bo wszyscy zasiedli wokół Generała, aby mu powiedzieć o swojej wierności i gotowości, gdyby zaszła potrzeba.

Na tym tle warto jeszcze powiedzieć, o próbach dywersji ze strony komunistów, którzy tym razem przyłożyli szczególne starania, by przeciwstawić się gen. Andersowi. Na wstępie — na parę dni przed przyjazdem Generała z Kanady — w brukowym dzienniku nowojorskim ukazał się memoriał jednej z żydowskich organizacji prokomunistycznych, umieszczonych na liście podejrzanych, w którym komuniści gołosłownie oskarżają gen. Andersa o antysemityzm żądali niewpuszczenia go do Stanów. Rzecz znamienna, że memoriał ten wydany

w nocnym wydaniu pisma nie ukazał się nazajutrz w wydaniu porannym i został przez redakcję wyraźnie cofnięty. Po przyjeździe Generała do New Yorku w dniu „parady“ podczas bankietu w Waldorf Astoria na Lexingtonie w rejonie hotelu stanęły pikietki złożone z komunistów żydowskich i murzyńskich w liczbie około 500 i — zwyczajem amerykańskim — demonstrowały przeciw Generałowi przy pomocy tablic o różnych napisach. Nie brakowało i okrzyków. Nie naruszyło to oczywiście ani programu bankietu, ani tymbardziej frekwencji na nim, spowodowało natomiast najżywsze zainteresowanie opinii i prasy amerykańskiej, która tłumnie przybyła do Waldorf Astoria, aby dowiedzieć się przyczyn demonstracji. Drugi raz komuniści zorganizowali podobne pikietki przed jedną ze stacyj radiowych, przed którą gen. Anders miał wygłosić przemówienie. Oprócz tych wystąpienia szalał komunistyczny organ polski w Detroit, który poświęcił bodaj dwa numery generałowi Andersowi obypując go niepożyczalnymi wyzwiskami i napaściami. To samo robiły inne pisma komunistyczne wydawane w różnych językach.

Ten zgodny wrzask komunistów był bodaj najlepszą ilustracją podróży Generała i obaw, jakie podnieciły agentów Moskwy i komunistycznego reżymu w Warszawie do historii w rozmiarach niespotykanych nawet tutaj.

Opinia polska przyjęła ten zgiełk komunistyczny z zupełnym spokojem, ponieważ nie jest on dla niej żadną niespodzianką. Byłoby raczej niepokojące, gdyby komuniści nie denerwowali się podróżą polskiego generała, który jest koronnym świadkiem w sprawie Katynia. Mają zaś komuniści także wiele innych powodów, by podejmować bezskuteczne zresztą próby zamieszania w związku z wizytą gen. Andersa.

Dla opinii i dla czynników amerykańskich gwałtowna reakcja komunistów, z jaką nie spotykał się tu żaden z przywódców przybywających do USA, a także nie wszyscy z przywódców amerykańskich — powinna być wskazówką i pouczającym dowodem, kogo komuniści uznają za głównych i niebezpiecznych swoich przeciwników. Demonstrując przeciw gen. Andersowi komuniści demonstrowali przeciw sprawie polskiej tak, jak ją rozumieją ci, których gen. Anders reprezentuje. Przybywali do New Yorku różni wybitni Polacy, ale nie wszyscy: wzbudziła wściekłość komuny, a bodaj żaden z nich nie spowodował aż takiej wściekłości i takich przygotowań zapewne niemało kosztownych (stawka w pikiecie kosztowała 1 dolara za godzinę od głowy, nie licząc innych poważnych kosztów technicznych).

Do opinii amerykańskiej nie zawsze przemawiają polityczne argumenty dotyczące odległych od niej zagadnień.

W New Yorku Amerykanie mogli się jednak przekonać nie tylko o tym, że zwycięski dowódca polski z okresu wojny skupia wokół siebie, których jest wiernym sługą i obrońcą, wszystkich Polaków, ale że również mobilizuje ciemne siły przeciw sobie, które w jego sukcesach widzą słuszenie niebezpieczeństwo własnej klęski. Jeśli raporty ambasadorów amerykańskich z Warszawy nie doświadczyli do daty o tych dwu sprawach mówili, to każdy przechodzień amerykański podczas pikiet komunistycznych zwróconych przeciw gen. Andersowi na głównych arteriach metropolii świata, mógł się o tym dowiedzieć przekonano.

Te refleksje mogą być tylko częścią wrażeń, jakie należy zanotować tymczasem na marginesie podróży gen. Andersa. Oczekują w najbliższych dniach dwa wydarzenia: jedno w Buffalo, u siedziby wpływowego Mikołaja Gomułki w Chicago w stolicy prezesa Kozłomarki, który w dniu parady Pułaskiego w New Yorku podejmował u siebie Tomasza Arciszewskiego. Resztę dni wypełni głównie Waszyngton. Jest to jednak osoby rozdziela.

Następnie gen. Anders uda się w podróż powrotną do Londynu. Wtedy też będzie właściwy czas na bilans jego wizyty.

KL. HRABYK

Uroczystości ku czci Pułaskiego w Waszyngtonie

Dnia 11 października b. r. gen. Wł. Anders powrócił do Waszyngtonu z Nowego Jorku by wziąć udział w uroczystości 171 rocznicy śmierci Pułaskiego. Uroczystość odbywała się przed pomnikiem bohatera.

Po wprowadzeniu sztandarów amerykańskiego i polskiego i ustawieniu się kompanii honorowej wojska amerykańskiego i po złożeniu wieńca — przemówił ambasador Ciechanowski, przypominając cel przybycia gen. Pułaskiego do Ameryki oraz ideały, dla których poświęcił życie. Były to te same cele, dla których nasi żołnierze ginęli i walczyli od r. 1939 na polach bitew, wierni Polsce i swej przysiędze. Najwyższym ich przedstawicielem jest dziś gen. Anders, który oto uczestniczy w tej wspólnej uroczystości. Dzisiaj w tych ciężkich czasach spotkali się w tym miejscu dwaj wielcy wojownicy o te same ideały. Może tak chciało przeznaczenie, gdyż nigdy światu cywilizowanemu nie groziło tak wielkie niebezpieczeństwo jak obecnie. Dopóki grzechy Jałty nie będą naprawione i dopóki półwa Europy będzie żyła w niewoli i pod rządami tyranii — dopóty nie będzie pokoju, a zagrożenie ze strony Rosji Sowieckiej będzie stale wzrastało. Ambasador zakończył przemówienie słowami Peryklesa: „Tajemnicą wolności jest odwaga“.

Następnie przemówił gen. Anders, który z naciskiem zaznaczył, że obecność Pułaskiego na ziemi amerykańskiej była dowodem, że wolność jest jedna i niepodzielna. Żołnierze polscy w wojnie ostatniej walczyli na morzu, lądzie i w powietrzu o wolność Polski. Lecz ten cel nie został osiągnięty. Generał wyraził wiarę, że amerykańskie ideały wolności indywidualnej i uczciwości, które znajdują się u podstaw potęgi amerykańskiej zwyciężą w końcu w całym świecie. Na razie jednak wszystkie wołne narody żyją pod groźbą tego samego niebezpieczeństwa. Ci sami zbrodniarze, którzy mordowali amerykańskich jeńców

na Korei, wiążąc im ręce i strzelając do nich w tył głowy, postępowali w ten sam sposób w Katyniu. „Mord katyński stał się wzorem dla komunistycznej polityki w krajach „uwalnianych“ przez czerwone armie. Gdybyśmy mogli swego czasu mówić swobodnie na temat zbrodni katyńskiej, wiele straszliwych nieporozumień i błędów można było uniknąć“.

Tego samego dnia gen. Anders był na obiedzie u brytyjskiego attaché wojskowego płk. Windsora Lewisa.

Dnia 12 października b. r. gen. prowa-

ECHA MANIFESTACJI W DETROIT

Wychodzący z Detroit „Dziennik Polski“ podaje obszernie szczegóły z wielkiej manifestacji, która odbyła się w tym mieście ku czci Pułaskiego z udziałem generałów Sosnkowskiego i Andersa. Uroczystość zgromadziła 6 tysięcy osób w sali Coliseum. Oto co między innymi pisze sprawozdawca „Dziennika Polskiego“:

„Obydwa Generałowie weszli na trybunę i długo, długo salutowali szalając z radości Polonię. Obydwa w mundurach, przy pełnych orderach robili wspaniałe wrażenie. Generał Sosnkowski o postawie rzymskich cesarzy, oczarował swoją powagą i dziwną potęgą, która, zdawało się, biła z jego postaci. Generał Anders widać — urodzony żołnierz, sylwetka tak znana wszystkim ze zdjęć w nieodstępnym berecie, salutując publiczność, wyglądał jak wspaniały posąg, symbol wiecznie walczącej i nieugiętej Polski“.

POWITANIE GENERALÓW SOSNKOWSKIEGO I ANDERSA

Akademii zagal przewodniczący Komitetu Wykonawczego obchodu Dnia Pułaskiego p. Januszewski, wydawca „Dziennika Polskiego“. Inwokację wypowiedział ks. prałat Edward Szumal, rektor Seminarium Polskiego w Orchard Lake. Przewodnictwo Akademii objął p. R. Maile, krajowy

stościami amerykańskimi, a wieczorem był na obiedzie u ambasadora Grew, przewodniczącego organizacji Free Europe.

Dnia 13 października b. r. generał był na śniadaniu u gubernatora Szymczaka z Federal Bank Reserve, a wieczorem wygłosił odczyt w Georgetown University p. t.: „Bitwa o Monte Cassino i losy Żołnierza Polskiego po drugiej wojnie światowej“.

Dnia 14 października generał wyjechał do Buffalo, gdzie był gościem mera miasta p. Mruka i Polonii Amerykańskiej.

Dnia 16 października generał przybył do Chicago na zaproszenie prezesa Rozmarka. Dzień 17 października generał spędził w Chicago jako gość Syndykatu Dziennikarzy.

komendant Disabled American Veterans. Pierwszy mówił mer miasta Detroit p. Albert Cobo, który powiedział na wstępie:

„Uważam za wielki zaszczyt, że mogę powitać w imieniu mieszkańców naszego grodu tak sławnych i zasłużonych dla sprawy wolności i pokoju bohaterów, jak generał Kazimierz Sosnkowski i generał Władysław Anders“.

Witał również obu generałów gubernator Stanu Michigan G. Mennen Williams, który wyraził także szczerze uznanie obywatelom amerykańskim polskiego pochodzenia.

Następnym mówcą był senator Homer Ferguson z Michigan, który „oddał hold generałowi Andersowi i jego bohaterom żołnierzom“. Zapewnił, że „w całym świecie Anders i jego żołnierze znani są jako „armia broniąca wolności“. A każdy wolny człowiek sercem i duszą im sprzyja“.

Senator Ferguson zaznaczył, że dumny jest, iż mógł przyczynić się do uchwalenia ustawy o dopuszczeniu żołnierzy polskich do Stanów Zjednoczonych. Następnie senator Ferguson zaatakował w najostrzejszych słowach układy w Jałcie, oświadczając, że „mu wstyd za to, że rząd amerykański pozwolił na zdradzenie Polski w Jałcie. Nie będzie pokoju na świecie, dopóki

(Dokończenie na str. 8)

S. KLINGA

Kapitanowie i szczury

Pan Michał Ciołek przeprowadził szczegółową polemikę z artykułem Vigila w „Dzienniku Polskim” i zwrócił m. in. uwagę, że p. Vigil wykłada amerykański punkt widzenia, a pomija polski, nazywając ten ostatni sprawą „osobistych” przekonani. Trzeba wyjaśnić, dlaczego tak czyni.

Sprawa jest prosta, tylko trzeba wiedzieć. Pisujący pod pseudonimem Vigil publicysta, były polski urzędnik dyplomatyczny, przyjął już dawno amerykańskie obywatelstwo, zdążył już być amerykańskim urzędnikiem i przyjmuje czynny udział w amerykańskiej polityce partyjno-politycznej. Reprezentuje zatem amerykański punkt widzenia, amerykańskie interesy publiczne i narodowe. To jest sprawa jego, dlaczego jednak namawia Polaków, którzy obywatelstwa amerykańskiego nie przyjęli, by myśleli tak jak on, to wydaje się mniej zrozumiałe.

Trzeba również wyraźnie określić, o co chodzi, bo za sprawy tej robi się albo dyskusję jednostek o odmiennych poglądach osobistych lub co najwyżej zatarg Polonii Amerykańskiej z polską emigracją polityczną. Tymczasem tak wcale nie jest. Chodzi tu raczej o konflikt między tymi, którzy — nieraz nieproszeni — stoją na gruncie państwowości Stanów Zjednoczonych, a tymi, którzy stoją na gruncie wolnej państwowości polskiej. P. Wyrwa wziął na siebie rolę przedstawiciela państwowości polskiej, a p. Vigil — Stanów Zjednoczonych. To jest proste.

Okazuje się jednak, że nie dla wszystkich jest to proste i zrozumiałe, bo „Dziennik Polski” ogłosił potem cztery listy czytelników: trzy długie, wypowiadające się za stanowiskiem Vigila oraz jeden krótki, podtrzymujący stanowisko Wyrwy. Listy, jak listy. Różne bywają przekonania. W W. Brytanii jest 160 tysięcy Polaków i z tego 3-ch wypowiedziało się po stronie asymilatora. To jeszcze nie jest nieszczęście. Ale „Dz. Pol.” zatytułował te listy w ten sposób: „Wyrwa. Większość czytelników za Wigilem”. W tym tytule zabrzmiał taki ton tryumfu, że niektórzy Polacy doznali dreszczu zgrozy. Gdyby 3/4 Polaków było za Wigilem, to zgodnie z powyższym triumfującym tytułem byłaby to straszliwa wyrwa w polskim frontie walki o niepodległą państwowość. Ale „Dziennik Polski” się myli. Tak wcale nie jest.

Sreściwszy w ten sposób przebieg sprawy Wyrwy w ujęciu londyńskiego „Dziennika Polskiego” — przedźmy do istoty zagadnienia. Zagadnienie to ma wiele stron. Jedną z nich określiliśmy powyżej, jako zatarg państwowości amerykańskiej z państwowością polską o dusze i ciała Polaków, rozegnianych po świecie przez narodew nieszczęśliwych i sojuszniczą zdradę. Zdrada nazwała to i były amerykański p. Bliss-Lane, więc nie mamy powodów unikać tego mocnego słowa. Siły w tym zatargu są na pierwszy rzut oka mocno nie równe; z jednej strony najpotężniejsze, najbogatsze mocarstwo w dziejach ludzkości z drugiej garstka bezdomnych wygnańców, pozabawiona środków materialnych, trzymająca się z uporem samej tylko idei państwowej. Lecz Dawid wygrał ongiś walkę z Goliatem, więc mimo wszelkich wrzasków na temat braku realizmu politycznego ta walka o ludzkie dusze wcale nie jest beznadziejna dla tej garstki wygnańców.

Stany Zjednoczone nie są miejscem wygnania — powiadają nam Amerykanie. To zależy: a) od punktu widzenia, b) od tego, jak kto czuje, c) od faktów materialnych. Nasz punkt widzenia jest oczywiście inny, niż amerykański, bo dla nich ich kraj nigdy nie może być miejscem wygnania. Gdy zaś chodzi o nas, to na ich argumenty, że Stany Zjednoczone były zawsze miejscem ostatecznej ucieczki od przesładowań, odpowiemy, że sytuacja dzisiejsza jest zupełnie niepodobna do wszystkich poprzednich.

Dzisiejsza emigracja polityczna z krajów Europy środkowo-wschodniej składa się z ludzi, którzy stali się wygnańcami właśnie dlatego, że byli mocno do swojej ojczyzny przywiązani. Opuszczali oni swe kraje nie po to, by się gdzie indziej osiedlić, lecz po to, by móc organizować walkę o wolność swego kraju. Szukali po prostu nie tyle wolności osobistej, lecz wolności walki o wolność swoich narodów.

W dodatku wśród tej emigracji jest ogromny odsetek czynnych polityków swoich krajów, naukowców, literatów, ludzi wolnych zawodów, którzy w krajach osiedlenia nie mogą wykonywać swoich zawodów i są spychani w dół drabiny społecznej. Jakżeż można

spodziewać się, że ci ludzie nie wrócą do swoich krajów, gdy warunki się zmienią? A mogą oni przy tym zastanowić się jeszcze nad tym zjawiskiem, że Polakiem, który zdobył sobie powszechny szacunek, sławę i wpływy w St. Zjedn. był Ignacy Paderewski, który ani tam, ani gdzie indziej nie szukał nowej ojczyzny, lecz przez całe życie walczył o wolność tej, którą dał mu Bóg od urodzenia.

Nie bez znaczenia jest także fakt, że w one czasy ludzie emigrowali do Stanów Zjednoczonych jako do kraju, który w niczym nie zawinił ich nieszczęściu. A dzisiaj Stany Zjednoczone w dużym stopniu przyczyniły się do tego, że emigranci musieli swą ojczyznę opuścić, lub że nie mogli do niej wrócić. Uraz z tego powodu tkwi jak cierni w ludzkich duszach i nierozumnie jest liczyć, że szybko przeminie bez śladu. Poniewieranie się przez lata po obozach UNRRA i IRO, znoszenie przeraźliwego nacisku, mającego na celu zmuszenie do repatriacji, też nie pozostało bez wpływu na umysły i uczucia emigrantów. Trzeba długich lat dobrego życia, by te urazy zaleczyły. Naciski, wymagania i szkany wcale nie wpłyną na to, by ludzie zaraz uznali kraje osiedlenia za swe nowe ojczyzny. Jeżeli to osiedlenie będzie trwać lata i nadzieja na powrót zamrze, to czas może zrobić swoje. Lecz na razie nadzieja żyje. Możemy więc bez obawy udzielić krajom osiedlenia dobrej rady, jak skutecznie wynaradawiać i asymilować nowych przybyszów. Mianowicie trzeba spełnić trzy warunki, takie same, jak te które zapewniają powodzenie w życiu kobiety: po pierwsze — być atrakcyj-

nym; po drugie — nie ujawniać bezwstydnie swoich celów; po trzecie — nie okazywać nieprzyzwoitego pośpiechu.

Udzielamy tych rad bez obawy, że zostaną one zastosowane, bo z warunkiem pierwszym trzeba się urodzić, a dwa drugie wymagają dużej subtelności. Subtelności tej widocznie bardzo brakuje, skoro ktoś ma się na nas obrażać, że czujemy się w ich kraju wygnańcami. To uczucie nie ma nic wspólnego z warunkami życia w danym kraju, ani ze stosunkami do tego kraju, lecz wynika z przywiązania i miłości do kraju własnego. Jeśli ktoś ma nam te uczucia za złe, to szkoda z nim gadać. Brak subtelności jest i w tym, że się nie widzi różnicy między emigracją „zwykłą” z krajów przeludnionych, gdzie brakuje ziemi i pracy, a ucieczką od rządów zaborczych, która jest ucieczką z ojczyzny, ale nie od ojczyzny.

Jest zjawiskiem moralnie zupełnie innego rzędu, gdy ktoś emigruje z kraju w normalnych warunkach, a zupełnie co innego, gdy ktoś wyrzeka się swej ojczyzny w chwili, gdy ona jest słaba, pobita i gniebiona przez wroga, wybierając sobie nową, bogatą i silną. Jest to zupełnie ta sama różnica, jak między młodym człowiekiem, który doradzi opuszczenie rodzicielski dom, by budować własne życie, a człowiekiem, który wynosi się z domu, bo nie chce doglądać chorej matki. Jeżeli Stanom Zjednoczonym spieszo jest przycierać do łona ten drugi gatunek ludzi i uczynić ich swymi obywatelami, to prosimy bardzo. Chętnie się ich pozbedziemy. No i jeszcze, czy nikomu nie przychodzi do głowy, że człowiek

o głębokim poczuciu godności osobistej będzie wołał do końca życia czuć się wygnańcem ze swego kraju, niż obywatelom drugiej klasy każdej nowej ojczyzny. Zresztą wygnańcem można czuć się nadal, pomimo przyjęcia nowego obywatelstwa.

Dla ludzkich serc ojczyzna to istność żywa, konkretna, mająca kształt, kolor, smak i zapach. Kolor „pól posrebranych pszenicą, pozłocanych żytem”, smak jadanej w dzieciństwie strawy, uwarzonej przez matkę, zapach zżętego siana, dźwięk śpiewu żniwiarzy, chrzęst śniegu pod nogami w mroźną noc wigilijną. Oczywiście można dotykać rękami, kochać, pieścić, a także wymyślać i w gniewie kopnąć. Tak — wyleczmy się z niepotrzebnego sentymentalizmu. Nienawieść często jest odwrotną stroną namiętnej miłości. Anglicy powiadają, że człowiek, który nigdy z powodu swej ojczyzny nie doznał uczucia wstydu, nie jest dobrym patriotą. Rosyjski poeta pisał, że „kto nie zna ni smutku, ni gniewu, ten nie kocha ojczyzny snąc swej”, a poeta polski wyraził nierozważny splot patriotycznych uczuć takimi słowami:

*„Gdy głowa runie na twarzą bruk
I nogi w czarnej krwi się poslizgną,
Ty mi oczy znużone przysyp
Szarym piachem z nadwiślańskich
dróg
O zielona, śpiewająca, szumiąca,
o jedyna — nienawistna
Ojczyzno!*

Ojczyzna jest zawsze jedyna. Może ona doprowadzić człowieka do pasji i do rozpacz — może przyprowadzić o gniew i o wstyd, ale zostaje jedyna i ukochana. Musi nawet przyprowadzić

o gniew i o wstyd, bo zło jest w życiu nieuniknione, lecz zło, tchórzostwo czy podłość w kraju obcym człowieka nie obchodzi, w kraju własnym natomiast bola i zawstydzają. Gdy pisało się o Polsce, jako o „kraju bez Quislinga”, można było sobie powiedzieć: jakie to polskie, jakie wzniosłe polskie, lecz w innych wypadkach, nie szukając daleko przykładu, trzeba powiedzieć: jakie to polskie, jakie obrzydliwe polskie.

Dwie są zasadnicze, skrajne i wyłączone się nawzajem postawy do okrętów, pływających na wzburzonych wodach życia — postawa szczurów i postawa kapitanów. Szczury uciekają z zagrożonego okrętu na brzeg. Kapitanowie pełnią swój obowiązek na mostku do końca i często idą pod wodę wraz z okrętem. Szczury wychwalają swój zdrowy rozsądek, swój *common sense*, swój realizm polityczny i nawet swą szczurzą moralność, wyrażając się jakoby we wdzięczności do tego bezpiecznego brzegu, na który uciekli. Gdyby jednak ten brzeg zalewała woda, toby uciekli gdzie indziej. Postawa szczurów jest wrodzona. One zamieszkuje kolejno na różnych okrętach, dopóki jest bezpiecznie, nory są suche i śpiżary pełne, a uciekają, gdy się staje niebezpiecznie, wilgotno i głodno. Należy to do naturalnego porządku rzeczy, dopóki szczurzem nie powierza się odpowiedzialności dowodzenia i sterowania okrętem. Złe zaczyna już być wtedy, gdy szczury zaczynają zabierać głos, doradzać kapitanom, jak oni mają żeglować lub namawiać załogę, by poszła w ich szczurze ślady i opuściła okręt. Trzeba je wtedy pozapędzać do nory.

Okręt polski żegluje dziś na groźnych, wspanionych falach. Każdy Polak ma do wyboru dwie postawy: — kapitana, albo szczura. W tym drugim wypadku traci on prawo do zabierania głosu w sprawach polskich.

GAMMA

Sezon polityczny we Francji

„Kalendarzyk” polityki wewnętrznej we Francji nie zmieniał się ani w związku z napięciem sytuacji międzynarodowej, ani w wyniku wypadków na Korei. Przyspieszył on może tylko wakacje Izby Ustawodawczej, które wznowiły swoje prace w dniu 17 października r. b.

Była także wewnętrzno-polityczna przyczyna tego, iż wbrew tradycji ostatnich kilku lat, kiedy Izby obradowały niemal bez przerwy, zaraz po 15 lipca parlament rozjechał się na wakacje. Obalenie rządu Bidault w końcu czerwca br. nastąpiło, po raz pierwszy, w warunkach przewidzianych przez konstytucję, po odrzuceniu przez Izbę wniosku o udzielenie mu dalszego zaufania. Utworzony w dniu 12 lipca gabinet Plevna mógł liczyć na bardzo niepewną większość. Gdyby zarzykowano jeszcze jedno przesilenie na tle uchwalenia rządowi votum nieufności, wszedłby w grę przepis konstytucyjny zawierający nie tylko automatyczne rozwiązanie parlamentu, ale także i postanowienia ustalające rząd przejściowy, specjalnie dla przeprowadzenia wyborów, pod przewodnictwem marszałka Izby p. Herriot'a i z udziałem wszystkich sześciu wiceprezidentów, wśród których znajdują się dwóch komunistów t. j. Duclos i pani Braun. Ewentualność tej chętno unikał i wobec podrażnionych nastrojów w parlamencie ewentualną rozgrywkę odłożono do jesieni.

Sezon polityczny poprzedził kongres Partii Radykalnej zwołany na 16—18 września do Dauville. Partia ta licząca w obecnej Izbie zaledwie sześćdziesięciu kilku posłów nie posiada już tego przemownego wpływu we Francji, jaki miała zwłaszcza na początku bieżącego stulecia. Zmienił się także jej charakter.

Partia socjal-radykalów (nie należy jej mylić z partią socjalistyczną) wywierała decydujący niemal wpływ na dzieje III Republiki — początkowo jako ośrodek obozu republikańskiego, walczącego w latach 1873—1880 z próbami przywrócenia monarchii, w późniejszym zaś okresie od ostatnich lat XIX wieku począwszy jako, przede wszystkim, partia anty-klerykalna, usiłująca ograniczyć wpływy Kościoła a od sprawy Dreyfussa także i armii.

Antyklerykalizm ten, którego okre-

sem szczytowym był gabinet Combes'a (lata 1902—1905), nie tylko na długie lata zaciążył nad rozwojem politycznym Francji, osłabił jej siłę wewnętrzną, wprowadził do społeczeństwa rozdwojenie, upośledził w życiu politycznym czynniki katolickie, ale i, pośrednio, wpłynął na zahamowanie reform społecznych. Radykal-socjaliści, którzy byli w owym okresie nie tylko partią średniej burżuazji i drobnego mieszczaństwa, ale w znacznej mierze chłopów i w pewnej mierze robotników, świadomie wyczerpywali swoją demagogię w chałaśliwym anty-klerykalizmie, pozostawiając na uboczu zagadnienia socjalne. W wyniku tej polityki mimo, iż przez 40 lat poprzedzających drugą wojnę światową (1899—1939) — z niewielkimi przerwami, jak np. okres Izby „Bleu Horizon” (1919—1924) — rządziła we Francji „lewica”, Francja, spośród państw zachodnio-europejskich, posiadała najbardziej zacofane ustawodawstwo społeczne. Pierwsze ograniczenia wzywu pracy we Francji wprowadzone były zaledwie w 1900 roku (reformy Milleranda), gdy pracę dzieci w wieku lat 11—16 ograniczono do 12 godzin dziennie!

Dopiero bardzo późno, bo w okresie rządów Bluma (1936—1937), radykalne reformy położyły, w znacznej mierze, kres temu stanowi rzeczy.

Partia radykalna była nie tyle może stronnictwem w znaczeniu, w jakim to pojęcie było stosowane u nas, ile raczej ruchem czy też wyrazem stanu umysłów. Do obozu radykalnego zaliczani byli rozmaici wybitni politycy, którzy bądź jak Clemenceau od szeregu lat praktycznie nie wchodzili do szeregów stronnictwa, lub jak Aristides Briand nigdy doń nie należeli.

Wypadki wojenne, brak przygotowania, z jakim Francja weszła w okres drugiej wojny światowej, niezdecydowana polityka przeważnej części przywódców partyjnych przy obejmowaniu władzy przez Petain'a, wreszcie odsunięcie działaczy radykalnych w akcji „oporu” przez młodsze elementy gaulistowskie, socjalistyczne, a także i w owym okresie komunistyczne, wpłynęło na to, iż w pierwszych parlamentach wybranych po zakończeniu działań wojennych radykali znaleźli się tam jako mała, pozabawiona wpływów, zdepopularyzowana grupka.

Paryż, w październiku. System „trójpartyjny”, który objął władzę z początkiem 1945 r. po dymisji gen. de Gaulle'a oparł się o koalicję obozu chrześcijańsko-demokratycznego (M. R. P.), socjalistycznego (S. F. I. O.) i komunistycznego. Radykali zostali całkowicie z gry wyłączeni.

Dopiero żalosne wyniki rządów koalicji rójpartyjnej, brak dostatecznego doświadczenia państwowego czynników, które objęły władzę, a pochodzący przeważnie z elementów tworzących wojenny „ruch oporu”, zmieniły gruntownie ten stan rzeczy. Już w r. 1947 radykali weszli do rządu, a od tego czasu trzykrotnie, po raz pierwszy w gabinecie Marie, a następnie w dwóch kolejnych rządach p. Queuille'a objęli nawet kierownictwo gabinetu. Także i obecny rząd ex-gaullisty i lidera UDSR p. Plevna z b. premierem Queuillem, jako ministrem spraw wewnętrznych, uważać można za gabinet pozostający pod kierownictwem radykalnym. W Izbie obecnej bowiem grupa radykalów wraz z kilkunastoosobową frakcją UDSR (przynajmniej do radykalizmu społecznego i wywodzącą się z akcji „oporu”) i drugą jeszcze frakcją parlamentarną UDI (Union Démocratique des Indépendants) tworzą blok parlamentarny pod nazwą R. G. R. (Rassemblement de Gauche Républicain). Blok ten, zajmujący stanowisko centrowe, przy wytrwałości politycznej i zdolności manewrowania na terenie parlamentarnym radykalów, gra w obecnej Izbie coraz bardziej kluczową rolę.

Ważne wypadki w polityce międzynarodowej nie przeszkodziły Kongresowi w Dauville skupić całej uwagi nad zagadnieniem ordynacji wyborczej. Ordynacja obecna, która jest czystym zastosowaniem systemu proporcjonalnego w ramach dość dużych okręgów wyborczych (3—8 deputowanych) jest bardzo niekorzystna dla radykalów. Najchętniej powróciłby oni do systemu wyborczego, który obowiązywał przy wyborach w latach 1924, 1928, 1932 i 1936 t. j. okręgów jednomandatowych. System ten różnił się od obowiązującego w Anglii istnieniem t. zw. „drugiej tury”.

Obecny premier Pleven zapowiedział, iż rząd wnieś do parlamentu projekt zmiany ordynacji wyborczej. Jeżeli nie ma dojść do przesilenia, któ-

rego we Francji nikt sobie w tej chwili, poza skrajną opozycją — nie życzy, projekt reformy ordynacji musi być dziełem kompromisu stronnictw rządowych. Otóż socjaliści, którzy godzą się bez wielkiej niechęci z systemem obecnym, obawiają się wyborów jednomandatowych, sądząc, iż uprzywilejują radykałów, system ten mógłby w znacznym stopniu być dogodnym i gaullistom. Najbardziej jednak zdeklarowanym przeciwnikiem systemu okręgów jednomandatowych jest chrześcijańsko - demokratyczna MRP. Przywódcy tej partii są zdania, iż koalicje lokalne radykałów z prawicą na tle konserwatywnego programu społecznego, i z socjalistami na płaszczyźnie „anty-klerykalnej” mogłoby, niemal zupełnie, usunąć MRP z parlamentu.

Nastąpi więc zapewne nieunikniony kompromis polegający na skolorowaniu systemu większościowego z proporcjonalnym. Ilość kombinacji, nad którą będą się głowili liczni w parlamencie specjaliści od prawa wyborczego — jest oczywiście duża. Skończy się więc zapewne na okręgach wielomandatowych z utrzymaniem zasady wyborów większościowych; to znaczy, że partia, która uzyska bezwzględną większość głosów otrzymuje wszystkie mandaty, w razie zaś gdy żadna z list nie uzyska bezwzględnej większości, następują wybory po raz drugi na zasadzie na nowo zgłoszonych list. Ponieważ przy istnieniu wielu partii we Francji rzadko kiedy jedna z partii otrzyma bezwzględną większość głosów, otrzymamy kompromis pomiędzy systemem większościowym i proporcjonalnym, zwróconym w praktyce przeciwko dwóm skrajnym stronnictwom; gaulistowskiemu (RPF) i komunistom.

Za tego typu reformę partia radykalna chętnie zapłaciłaby chrześcijańsko - demokratycznemu MRP ustępstwami w sprawie t. zw. szkolnictwa wolnego. Dotychczas tylko szkoły państwowe utrzymane na zasadach „świeckości” korzystać mogą z poparcia finansowego nie tylko państwa ale i samorządu. MRP od dawna i, jak dotychczas — bezskutecznie — domaga się przyznania także pomocy szkolnictwu prywatnemu, gdzie nauka religii byłaby w dostatecznie szerokim stopniu uwzględniona.

Partia radykalna przestała już bowiem być partią bojowo-antyklerykalną i chętnie zgodziłaby się w tej sprawie na dalej idący kompromis. Główne trudności wystąpią ze strony socjalistów, których działacze prowincjonalni żyją zaradkami i nastrojami, już nie tylko swych ojców, ale nawet dziadków.

WERONIKA HORT (HANKA ORDON-TYSZKIEWICZOWA)

INTERMEZZO IV

Oglaszamy drugi fragment wyjęty z przygotowanej do druku książki „Zamki na lodzie — szkice libańskie”, pozostawionej w spuściznie przez s. p. Hankę Ordon-Tyszkiewiczową. Charakteryzuje on doskonale postawę psychiczną zmarłej artystki.

— Weroniko, masz taką minę jak gdybyś chciała popełnić jakieś przestępstwo.

— Zgadza się.
— Jakże?
— Wielkie. Ale muszę.
— Jeśli wiesz, że to co masz zrobić jest przestępstwem, to nie rób tego.
— Jestem przestępcą z premedytacją.

— Przerazasz mnie.
— Niepotrzebnie. Zbrodnia moja będzie bezkrawa.

— Na Boga! Cóż to za przestępstwo?
— Wielkie. Ale popełnię je. Umieszczę w książce swojej dane statystyczne dotyczące wszystkiego, co było dokonane przez uchodźców polskich na terenie Libanu w latach od 1943 do 1950 roku.

— To rzeczywiście nie najszcześniejszy pomysł. Po co to robisz?
— W poczuciu, że to się przyda. Tak się zmieszala w życiu naszym poezja z prozą, że często z prozy czerpiemy natchnienie do poezji, a poezja staje się prozą i codziennym chlebem.
— Mów jaśniej.

— Nierealne idzie w parze w naszym życiu z realnym. Rzeczy nie do osiągnięcia stają się osiągalne, na przykład: podróże do najdalszych krańców świata. Nigdzie dla nas nie za daleko. Stał się wielkim podróżnikiem wbrew własnej woli. Realnym było przekonanie, że po skończonej wojnie zapanuje spokój, a my wszyscy wrócimy do Kraju. I co? To, co zdawało się najrealniejszym, stało się nierealnym i wciąż tkwinę zadrą na zachodzie.

— Skąd ci wpadł pomysł umieszczenia statystyki w książce raczej o literackim ujęciu?

— Na którymś z wieczorków, gdy czytało wiersze, do uszu moich asycyły się słowa, które spłotyły się w sercu w jedno.

*Brzękają struny lipcowych skrzypiec.
A smyktem wodzi gospodarz lipiec.
Usiadł na przybzie, wybija nogą,
Gra — to dla swoich; a nie dla kogo...*

brzmiały słowa poety.
— Cudny był konkurs szopenowski, proszę pani — trzy dni trwał. Slicznie było. Piękne medale z podobizną Szopena dostali na pamiątkę uczestnicy, członkowie komitetu i Pan Prezydent Libanu.

— Gra, to dla swoich, a nie dla kogo; — łączyła się poezja z szepem zachwyconej dziewczynki.

*Nieszporu dzuonom, co w niebie
dźwięczą,
Użętym wczoraj żyta naręczom,
Pszenicę jędrną w chlebowym*

*Wiejski muzykant — i tylko tyle.
I tylko tyle — ale oddzwania
Z okola echem owego grania:
Od dziewczyniny, co zerka z sadu,
I od derkaczy i od owadów.
Aż lipy, dzwonne ze skrzydeł*

*Leją swe miody w pachnący kielich
Lelii srebrnej — a ta lelija
Do gospodarza miodem przepija.
— Dziś urządzamy koleżeńskie przyjęcie dla Hali; skończyła studia i otrzymała dyplom — proszę przyjść, będzie się cieszyć.*

*A ta lelija
Do gospodarza miodem przepija.
— I co ja poradzę, Mario, że tak mi się upoetyzowały*

*Te matury z dyplomami,
Te szpitale ze szkołami,
Brzęczą słowa jak kapela,
Która serce rozwesela,
Jak rój pszczół w upalny lipiec,
Jak ten najcudniejszy skrzypiec.*

— Szwalnie, pralnie, jadłodajnie — najprzyjemniejsze rzeczy tak w poezję się oblekły, że odróżnić już nie sposób.

— Brzezinki młode, smukłe drzewiny — to przecież, widzisz zaraz, dziewczęta nasze, Gaudeamus to śpiewa — a matura się inna chwali. Cóż ja mogę poradzić, że brzęczy mi to w uszach, jak poezja słowa: odczyty, ambulatoria, kursy — wszystko powstające z niczego. Rosną cyfry wyśiuku dobrej woli ludzkiej, ludzkim niezmiernemu wiary. Zwycięstwem

jest przewyciężenie pojęcia, że nie warto niczego poczynać, bo wszystko, tylko patrzeć jak się rozleci, jak się skończy. Poczęte były prace w trudzie i w walce z nierobami, z nieodpowiedzialnymi krzykaczami, które dały plon. Cieszę się nim jakim cieszyła się, gdy żyto dobrze obrodziło. To nasz chleb na codzień i od święta. To nasze poczucie własnych sił, to upewnienie się, że nie zginiemy w żadnych warunkach — a to, Mario, jest wiele. Czy nie jest poezją wyświecenie dziewiętnastu księży polskich, lub taka praca Czerwonego Krzyża i różnych innych organizacji i ludzi poszczególnych. To poezja, Mario, nowa poezja, rodząca się z życia codziennego — poezja dająca siłę.

— Rób, jak chcesz. Przekonać siebie na pewno nie potrafisz, ale namyślił się, czy taka statystyka nie zniechęci czytelnika do książki.

— Wierzę, Mario, w zdrowy instykt ludzi. Gdy widzi się wzburzone fale, dobrze jest utwierdzić się w przekonaniu, że stoi się na stałym łądzie. Takim stałym łądem dla nas, przierzucanych z fali na fale, jest zimna statystyka osiągnięć, które się zdobyło przez ten czas. Gdy kiedyś zsumujemy wszystkie nasze zdobycze nie tylko z Libanu, ale z każdego kraju, w którym byli i są skupiska polskie, podniesiemy głowy, zrobimy sobie ciepłą na sercu na myśl, żeśmy nie tak małowarci jak to nieraz głosimy o sobie. Swary nasze, to nie tylko wina naszych indywidualności wybuchających, ale też i tego, że jesteśmy ciągle w roli szczutek na siebie psów. Pomagają nam wybitnie do tego, byśmy nie znaleźli wspólnego języka, byśmy, pragnąc budować, podkopali i rozwalali. Ale to minie, Mario, ten cha-

os musi minąć; potrzeba nam trzeźwego słowa — ono przyjdzie, musi przyjść.

Kiedyś, pamiętam, matka moja wbiegła do pokoju niesłyszalnie zdenerwowana, zaczęła przewracać wszystkie rzeczy, zaglądać we wszystkie kąty i narzekać na nieporządek, jaki panuje w domu.

— Czego mamusia szuka? — spytała mnie.

— Mojego nowego kapelusza. A może tyś go gdzieś zapodziała — przypomnij sobie.

— Co prawda, lubiłam przymierzać kapelusze mamine, ale tego nowego nie miałam jeszcze na głowie, więc odrzekałam się od takich insynuacji. Podejrzenie padło na ciocię, a potem na psa, że go poszarpał. Broniła cześci Burka Marysia, przysięgając, że nie wymyślała żadnych strzępów podobnych do kapelusza. Dobra chwila przeszła na bieganinie i szukaniu, wreszcie w drzwiach stanęła babunia, powracająca z miasta.

— Boże wielki — zawołała, zatrwożona — co się tu dzieje? Co się stało?
— Kapelusz zginał i szukamy go — odpowiedziała ciocia.

— Kapelusz? Jaki? — zapytała babunia.

— Mój. Nowy.
— Nowy? — upewniła się babunia — przecież masz go na głowie.

— Myślę, że w wielu wypadkach przydałaby się taka babunia, pokazująca nam kapelusze, których szukamy, mając je na głowie. Pokazująca, że wzięły, które staramy się rozwiązać, nie są zawiązane. *Wierze w zdrowy instykt społeczeństwa naszego, który pozwoli nam scalić się, zrozumieć się, pogodzić i nauczyć się, jeść z jednej miski, nie podbijając drugiemu skwarek.*

— Jesteś idealistką, Weroniko.
— Tacy także muszą żyć, chociażby dla równowagi, Mario.

„SEKRETARKA PANA PREZESA”
W TEATRZE DRAMATYCZNYM

Po „Krokach na schodach”, które jako teatr na serio zbyt małą uwagę zwróciły na siebie, znalazły się miejsce w repertuarze Teatru Dramatycznego im. J. Słowackiego na sztuce czysto rozrywkowej. Zajęła je „Sekretarka Pana Prezesa” W. Fodora, znana również p. t. „Mysz kościelna”. Jest to lekka komedia należąca już prawie do klasycznego repertuaru bulwarowego z początków naszego stulecia. W swoim czasie była nawet komedią z pewnymi pretensjami, niemal obyczajową. Należała do sztuki, w których przemyciała trochę głębszego znaczenia cała plejada ambitniejszych mistrzów lżejszej muzy, wśród których było wielu Żydów węgierskich (Molnar, Fodor, Buss Fekete), czy francuskich (Tristan Bernard, Bernstein, de Croisset, de Caillavet itd.).

Dziś ten przebojowy atak proletariatuśki biurowej na arystokrację z finansjery traci istotnie trochę „myszką”, jeśli patrzeć nań z głębszego punktu widzenia. Natomiast z punktu widzenia rozrywkowego nabrał rumieńców żywego scenariusza operetkowego. Wdzierające się przez okna do pokoju hotelowego w Paryżu melodie rozświetlanej ulicy wrazenie to jeszcze bardziej podkreślają.

Nie znając tłumacza, trudno go pochwalić z imienia, nie mniej trzeba pogodzić się z faktem, że adaptacja polska nie była w stanie uratować całej ostrości dowcipu z oryginału. Zwłaszcza, jeśli się uwzględni, że sztuka rzucona została przede wszystkim na hostele. Dlatego też często widzieliśmy twarz układającą się mogła do śmiechu, który nie zawsze rozładowywał się w spodziewanej poincie.

Rzecz kończy się zresztą jak najlepiej. Zwycięża dodatni morał, odwaga, pracowitość i urok młodości zostają wynagrodzone. I Numa wychodzi za Pompiliusza. Myśmy zatem i to, co uchodzi za happy end, jeśli tylko pomni przetregi Boya nie będziemy dochodzić, co mogło się stać z tą parą w rok czy dwa później.

W każdym razie sztuka jest dobra do grania: ma rolę tytułową i kilka figurek. W obecnej obsadzie widowisko to stoi niewątpliwie na głównej postaci, którą odtwarza Janina Katalbach. Po roli w „Słonecznikach”

T. Lisiewicz jest to niewątpliwie znowu sukces aktorski, którym może się talentowana aktorka pochlubić. Z całego zespołu ona traktuje swe zadanie najpoważniej, osiągając właściwy efekt. Taki zresztą stosunek do życia i swojej w nim roli jest charakterystyczny dla młodego wieku „fachowej sekretarki”, całą duszą oddanej systemowi stenografii Gabelsbergera.

Zatem energia i przedsiębiorczość, nadzieje i zawody urzędowego dzwoneczka wchodzącego w życie i wnoszącego doń powiew romantyzmu zarówno w pracy, jak i w miłości, oddane zostały z naturalnym wdziękiem i kunsztem aktorskim godnym, jeśli nie lepszej sprawy, bo teatr jest zawsze teatrem, to przynajmniej poważniejszej pozycji repertuarowej. Nie znaczy to bynajmniej, by p. Katalbach nadawała się tylko do grania „Antygony”, nie mniej teraz niedość swobodnie się czuje jeszcze (i w tym nic dziwnego) w rolach groteskowych.

Palme pierwszeństwa w tej dziedzinie podzieliłoby między komickie figurki, stworzone przez Ratschke, jako totumfackiego urzędnika prezydium banku, Modrzeńskiego w roli hrabiego-lowelasa, czy Mireckiego, jako syna prezesa, nigdy nie dorównującego ojcu. Barona finansjery grał Rewkowski, a Olę, jego „sekretarkę” (bez fachowych kwalifikacji) Kraszewska, oboje dobrze prezentując się w strojach wzorowych.

Obok sprawnej, jak zwykle, reżyserii L. Kielanowskiego chcielibyśmy z zadowoleniem stwierdzić pierwsze, nie miało jeszcze, ale udatniejsze próby wydobycia pewnej atmosfery przez J. Smosarskiego przy pomocy najskromniejszych środków dekoracyjnych, zwłaszcza w 2 i 3 akcie. Nawet w pierwszym akcie akcent wejścia jest udany, natomiast raziły biurka, które przecież mogłyby za bezcen nabrać cech stylowych, gdyby odpowiednio „udekorować” je kawałkiem tektury czy dyhty.

Przy sposobności warto zaznaczyć, że sala „Ogniska” została ostatnio odnowiona i przerobiona tak, że zaczyna wyglądać na prawdziwy teatr kameralny. Oby to był symboliczny znak bliskiej poprawy w sytuacji polskiego teatru na wygnaniu. (On)

Życie kulturalne w kraju i na obczyźnie
KSIĄZKI-WIDMA I DWIE SPRAWY BIEŻĄCE

Londyn, 15 października 1950.

E pur si muove... A jednak się rusza trochę nasz rynek książkowy. Ostatnio pojawiła się na półkach księgarskich Bronisława Przytuńskiego „Pastoralka Małoszewska” z opracowaniem muzycznym J. Markowskiego nakładem „Veritas” (Londyn 1950, str. 62 i 2 nl.). To samo wydawnictwo rozpiśało przedpłatę na 48 stronicy tomik za 2/6 Anatola Krakowieckiego p. t. „Na latającym dywanie”. Składają się nań utwory pisane przez dziś zmarłego autora „Książki o Kolymie” w czasie jego wędrówek po Bliskim Wschodzie, więc w tym samym czasie, co i jego wspomnienia z Kolymy.

Poza tym sygnalizowano ukazanie się także książki R. Orwid Bulicza p. t. „Europa nie odpowiada”, osnutę na tragicznych dziejach getta warszawskiego. Pracę tę tłumaczy obecnie na język angielski Polak z Nowej Zelandii, hr. Montalk-Potocki i ma ona być wydana w Ameryce, gdzie ma mieć zapewnione poparcie światowego Kongresu Żydowskiego. Ustępę z tej książki były drukowane w jednym z tygodników polskich w Londynie („Lwów i Wilno”).

Oprócz tego, to cośmy nie miało już zapowiadać, staje się faktem. Wyszło lub wychodzi teraz kilka książek polskich po angielsku. Nasze emigrancie marzenia, by książki poszły nie tyle pod strzechy, co między obcych, również się spełniają.

Korzystając z ciszy w zakresie zebrań naukowych i odczytów wypadła poświęcić nieco miejsca na nieliczne, ale interesujące zdarzenia w dziedzinie muzyki. Przede wszystkim więc dobrze zanotować, że znany b. żołnierzom 2. Korpusu z licznych koncertów na Bliskim Wschodzie pianista Zbigniew Grzybowski objął stanowisko profesora wyższego kursu fortepianu w Welsh National College of Music and Drama w Cardiff po powrocie z objazdu koncertowego po Południowej Afryce.

Prasa angielska zaś przyniosła wiadomość, że podczas tegorocznego festiwalu w Wenecji, na t. zw. Biennale, w dziale koncertów, odegrano m. in. kompozycję wybitnego muzyka niemieckiego, żydowskiego pochodzenia, A. Schoenberga, zatytułowaną „Uradowany z Warszawy”. (A survivor from Warsaw), op. 46. Utwór ten jest poświęcony uczczeniu ofiar prześladowań hitlerowskich podczas wojny. By-

„Diabeł w Raju”

z której odcinki drukowaliśmy w „Orle Białym”. Książka ta, która wkrótce ukaże się po angielsku i francusku, w języku polskim, ze względu na trudności wydawnicze, będzie mogła ukażać się tylko drogą prenumeraty.

„Diabeł w Raju”, obszerna powieść, satyryczny pamiętnik autora, liczący około 350 stron, wydany na porządnym papierze z ilustracją na okładce będzie kosztował w prenumeracji 10 szylingów. Zamówienia na książkę wraz z opłatą należy przysłać wprost do autora na adres: Tadeusz Wittlin, c/o Gryf Publications Ltd., 169-171, Battersea Church Rd., S. W. 11. Pieniądze z zamówień subskrypcyjnych deponowane będą na osobnym rachunku w banku na wspólną odpowiedzialność autora i firmę wydawniczą „Gryf”.

Premia na miesiąc październik!

Każdy abonent otrzyma po opłaceniu 1/- kosztów w W. Brytanii i opłaty według stawek na poszczególne kraje (tylko przez przedstawicieli Orła Białego):

J. Conrada: „Freja z siedmiu wysp”

Uwaga: opłatę manip. należy przelać przed 25 października!

KULTURA Nr. 10/36

Ukazał się nowy numer największego polskiego miesięcznika literacko-kulturalnego na obczyźnie, zawierający bogaty wybór szkiców, opowiadań i sprawozdań najwybitniejszych autorów polskich i obcych:

Numer zawiera: SKARB NARODOWY A KULTURA NARODOWA. Z. JORDAN — O rządzie światowym. M. SAMBOR — Coś dobrego o Sowietach. J. CZAPSKI — Malowane życie, malowana śmierć. J. ZADEYKAŃSKI — Adolf Nowaczyński. W. ZALESKI — Społeczność wartownicza. J. MIEROSZEWSKI — List z Wyspy. J. HOFFMAN — Początki konspiracji na Wołyniu. J. KOWALEWSKI — Precz z monopolem. J. URSYN — Problematyka ruchów oporu. M. K. DZIEWANOWSKI — Filozofia historii Europy. M. CZAPSKA — Ojciec Kolbe. Z. MARKIEWICZ — „Mickiewicz” Mieczysława Jastruna. ARKUSZE POETYCKIE, LISTY DO REDAKCJI i in.

Cena egzemplarza:

We Francji — 120 frs.; w Anglii — 3 sh.; w Stanach Zjednoczonych i Kanadzie — 0.75 dol.; w Argentynie 6 peso; w Niemczech — 2.50 DM. Warunki prenumeraty i ceny pojedynczych egzemplarzy w poszczególnych krajach wymienione są na przedostatniej stronie miesięcznika.

Przedstawicielstwa:

W W. Brytanii — GRYF PUBLICATIONS Ltd. — 169/171, Battersea Church Rd., LONDON, S. W. 11.

W Argentynie — J. Miecznikowski i T. Dąbrowski, SKŁADNICA KSIĄŻKI POLSKIEJ, Av. Leandro N. Alem 641, BUENOS AIRES.

W Niemczech — W. Zaleski, UNIVERSUM, (14a) HEILBRONN/N, Badenerhof.

W Kanadzie — H. R. RADOMSKI, 83 Front St. E. TORONTO/Ont.

W Szwajcarii — Zbigniew MAŁECKI, 8 Kistlerweg, BERN 16.

X. WALERIAN MEYSZTOWICZ

ENCYKLIKA

Rzym, w październiku. Encyklika „*Humani generis*“ wywołała już liczne komentarze: czytając je, ma się wrażenie, że niektórzy autorzy byli szczególnie uderzeni jakimś jednym lub paroma ustępami Encykliki, które przesłoniły im poglądy na całość sprawy: inni znowu rozmyślnie tej całości nie dostrzegają, by uwolnić się od konsekwencji i również toną w szczegółowych rozważaniach. Ginie w tym obrazie ogólna struktura, ogólny zarys nauki ogłoszonej przez Papieża; co najważniejsze zaś — ginie właściwa myśl zasadnicza Encykliki, jej myśl przewodnia.

Tą myślą przewodnią, zasadniczym pojęciem, pojęciem w pewnym znaczeniu nowym (bo dotąd używanym w innym znaczeniu) jest pojęcie „irenizmu“. Encyklikę można by było nazwać w dwóch słowach: „potępienie irenizmu“. Budowa Encykliki staje się jasna dopiero w świetle tego pojęcia. Budowa to klasycznie jasna i wyraźna. Otwiera ją krótki wstęp o błędach szerzących się poza Kościołem (I), następuje opis pojęcia „irenizmu“ (II) i jego przejawów w teologii (III), w filozofii (IV), w naukach „pozytywnych“ (V); Encyklikę zamyka ustęp o środkach i sposobach walki z irenizmem (VI).

We właściwym wstępie Papież przypomina, że rozum ludzki zdolny jest dość do własnych sił do zrozumienia istnienia Boga osobowego, spotyka jednak na tej drodze trudności; że nawet podstawowa prawda o wiarygodności religii katolickiej — choć tak dostępna — dla wielu jest również trudna, na skutek przesądów czy złej woli. Objawienie jest moralnie niezbędne dla powszechnego, pełnego, dokładnego poznania prawd dotyczących religii i etyki. Nie dziw więc, że błądzą umysły, pozostawione bez przewodnictwa Kościoła; Papież wylicza zasadnicze błędy: ewolucjonizm (w znaczeniu teorii o powszechnej ewolucji wszechrzeczy), monizm, panteizm, materializm, dialektyczny, egzystencjalizm, idealizm, immanentyzm, pragmatyzm, fałszywy historycyzm, wreszcie racjonalizm. Wszystkie te teorie są w Encyklice nie tylko wymienione, ale i w krótkie scharakteryzowane; przedstawione są przy tym we wzajemnym ich związku logicznym i dziejowym z precyzją i krótkością, czyniącą z tego ustępu Encykliki małe arcydzieło historyczno-filozoficzne. Zastępuje na podkreślenie wzmianka Papieża o tym, że niektórzy racjonalisci wracają do pojęcia Boga i objawionej prawdy — niestety tym gwałtowniej atakują urząd nauczycielski Kościoła.

Ten wstęp o błędach, szerzących się poza Kościołem, pozornie tylko nie jest związany z zasadniczą treścią Encykliki, ze sprawą irenizmu. Ale, jak to z następnego zaraz ustępu Encykliki wynika — irenizm jest tendencją do przystosowania się właśnie do błędów, poza Kościołem powstałych; przegląd tych błędów jest więc opisem podłoża, na którym irenizm się szerzy; z którego czerpie swe istnienie, bez którego nie mógłby się rozwijać.

II

W ten sposób skończywszy ze sprawą błędów szerzących się wśród niekatolików, Papież przechodzi do spraw odchyleń od nauki Kościoła, w które popadają sami katolicy. Papież zaznacza naprzód, że teologowie i filozofowie katolicy powinni znać i badać błędne kierunki wymienione wyżej po to, by móc z nimi walczyć, by ziarno prawdy tkwiące nawet w błędnych teoriach wyluskać, by swoją własną naukę pogłębić — nie zaś po to, by oddalać się od Kościoła; czy to z zamilowania do nowości, czy to z fałszywego wstydu, że mogą być posądzeni o nieznanostwo nowych prądów (powiedzielibyśmy prawie „przez snobizm“), czy to nawet z „nieroztropnej dbałości o dusze“ — o czym zresztą jest mowa w dalszych ustępach Encykliki.

Następuje potem najważniejsza część Encykliki: opis irenizmu. „*Jest jeszcze i inne niebezpieczeństwo, tym gorsze, że pokryte pozorem cnoty. Wielu jest bowiem takich, którzy boleją nad niezgodą ludzi i pomieszaniami umysłów, idąc za nieroztropną dbałością o dusze, gwałtownie pragną powyrwać przegrody dzielące jednych uczciwych ludzi od drugich; ci dochodzą do irenizmu, w którym, usunąwszy sprawy które ludzi dzielą, dążą nie tylko do odpiernania wspólnymi siłami nawały bezbożności, ale i do pogodzenia sprzeczności w sprawach dogmatycznych. I jak dawniej, niektórzy nie byli pewni czy apologetyka*

nie jest przeszkodą do rozszerzenia Kościoła — tak dziś są inni, którzy zapytują, czy nie należy zupełnie zreformować teologii i jej metody, by Królestwo Chrystusowe rozszerzyć po całej ziemi. Nie byłoby powodu obawiać się o nic, gdyby chodziło tu o dostosowanie nauki i metody do dzisiejszych potrzeb; ale jest źle, gdy niektórzy z tych ludzi, w nieostrożnym irenizmie, uważają za przeszkodę do braterskiej zgody i jedności to, co tkwi w samych prawach i zasadach danych przez Chrystusa oraz w instytucjach przez Niego założonych, lub to, co jest podporą i ochroną całości wiary, i co, gdyby odpadło, wszystko by się połączyło — lecz tylko w ogólnej ruinie.

Te nowe opinie, czy to pochodzące z nagannej żądy nowości, czy też ze szlachetnych pobudek, nie zawsze są przedstawiane w tym samym stopniu, z tą samą jasnością i w tych samych terminach, ani też nie mają za sobą ogólnej zgody swych twórców. To, co dziś jedni, z umiarkowaniem i rozróżnieniami, osłownie podają, jutro przez innych jest jawnie i bez pomiarowania głoszone, ze zgorzaniem dla wielu, szczególnie z młodszego kleru i ze szkoda dla powagi Kościoła. Zwykle ostrożniej się postępuje w publicznie wydawanych ksiązkach — swobodniej zaś w nieoficjalnych skryptych i prywatnych zebrań. Opinie te się szerzą nie tylko wśród świeckiego i zakonnego kleru, ale również i wśród laików, przeważnie wśród tych, którzy uczą młodzież.

Ten opis irenizmu musi być dokładnie rozważony i przemyślany nim się przejdzie do dalszych konsekwencji.

Podkreślmy naprzód, że irenizm, przeciwko któremu Papież Encyklikę wydał, w pojęciu Ojca Świętego nie jest jakąś jedną teoretyczną tezą, uznaną za herezję i potępioną, jak to bywało z herezjami pierwszych wieków. Jak wyraźnie wynika z przytoczonego wyżej tekstu, nie chodzi tu o jakiś jedno twierdzenie, z którego dalsze płyną konsekwencje, ale o pewną ogólną tendencję, wspólną wielu współczesnym katolikom, choć nie jednolitą ani co do stopnia, ani co do jasności, ani co do terminów, ani w ogóle nieuzgodnioną. Nie o tezę więc chodzi, lecz o pewną dyspozycję, tendencję, skłonność wspólną wielu dzisiejszym katolikom. „*Une attitude*“ — nazywa ją w swym komentarzu O. Bocheński.

Skłonność ku czemu? — Ku „przewróceniu przegród dzielących jednych uczciwych ludzi od drugich“ — przez pogodzenie sprzeczności w sprawach dogmatycznych, reformę teologii, przez usunięcie „dla braterskiej zgody i jedności“ tego, co tkwi w samych prawach i zasadach danych przez Chrystusa, w instytucjach przez Niego założonych, lub co jest ochroną i podporą całości wiary. Moglibyśmy tkwiącą w tych słowach myśl uprosić i przedstawić w przybliżeniu mówiąc, że chodzi o skłonność do ustępstw nie tylko z rzeczy dla Kościoła istotnych, ale i tych, które do samej istoty nauki Kościoła nie należą, są dla niej ważne jako jej ochrona i podpora.

Na czyją korzyść mają być te ustępstwa? Znajdujemy na to odpowiedź w pierwszej części Encykliki, gdzie wyliczone są błędy szerzące się dziś poza Kościołem. Wydaje się, że te wszystkie kierunki, na których rzecz mogą być robione ustępstwa, są wyliczone raczej przykładowo niż taktycznie: pod pojęcie irenizmu podpadłaby skłonność do robienia ustępstw dla jakiegokolwiek niekatolickiej teorii, nie tylko dla wyżej wymienionych.

Jaki jest cel tych ustępstw? „*Jednoczenie jednych uczciwych ludzi z drugimi... dla odpiernania nawały bezbożności*“.

Encyklika wprowadza do pojęcia irenizmu, poza celem, jeszcze jeden element: mianowicie pobudkę, leżącą u podstaw tej skłonności do ustępstw. Papież kładzie szczególny nacisk na to, że są wśród nich niektóre wyraźnie zdradne — jak pogoń za nowością i „snobizm naukowy“ — ale są też inne, mające pozór szlachetności, jak „imprudens animarum studium“ — nieroztropna dbałość o dusze.

Możemy z tego wyciągnąć określenie irenizmu: jest to wspólna wielu katolikom skłonność do ustępstw z rzeczy dla nauki Kościoła istotnych, lub choćby tylko ważnych, na rzecz niekatolickich teorii w celu uzyskania jedności uczciwych ludzi dla walki z bezbożnością, płynącą z rozmaitych, nawet szlachetnych pobudek.

jest przestępny czyn). Wynika to z samej natury określanej rzeczy, która nie jest tutaj ani tezą, ani czynem — lecz skłonnością, wspólną wielu ludziom.

Irenizm, jako pewny kierunek myślenia, łączy się ze zjawiskiem szerszym, sygnalizowanym przez Juliana Benda i ostatnio przez prof. Uniwersytetu Fryburskiego, O. Inocentego Bocheńskiego, pod nazwą „mobilizmu“. O. Bocheński rozumiał tu skłonność do uznania wszelkich tez i prawd za zmienne i ruchome. Irenizm jest pewną formą mobilizmu, przejawiającą się w umysłach katolików pozostających w Kościele.

W literalnym znaczeniu, opartym o grecki źródłosłów, irenizm znaczy to samo co pacyfizm: był ten termin już używany w tym znaczeniu w początku XVIII wieku jako nazwa teorii „pokoju powszechnego“ Abbé de St. Pierre. W Encyklice pojęcie to ma oczywiście inną treść, nad którą zatrzymaliśmy się dłużej. Z kierunków politycznych irenizm najbliższe wewnętrznie spokrewniony jest z „appeaserami“, dążącymi do wszelkich ustępstw politycznych dla przedłużenia stanu pozornego pokoju.

III

W trzecim ustępie Encykliki Papież wskazuje na to, jak irenizm przejawia się wśród teologów.

Ze skłonności do ustępstw płynie wytknięte przez Papieża dążenie „dogmatum significationem quam maxime extenuare“ — dążenie do jak największego osłabienia znaczenia dogmatów.

Dają ireniści do uwolnienia dogmatu od wyrazów, przyjętych w Kościele, do powrotu do języka Biblii i Ojców: mają nadzieję, że dogmat w ten sposób ogołocony z elementów, ich zdaniem nieistotnych, będzie można pogodzić z opinią niekatolicką. Twierdząc przy tym, że dogmat da się wyrazić w pojęciach i słowach zaczerpniętych z dzisiejszych systemów filozoficznych, od immanentystów, idealistów czy egzytencjalistów, gdyż tajemnic wiary żadne słowa nie wyrażają — jak wyraźnie wynika z przytoczonego wyżej tekstu, nie chodzi tu o jakiegoś jednego twierdzenie, z którego dalsze płyną konsekwencje, ale o pewną ogólną tendencję, wspólną wielu współczesnym katolikom, choć nie jednolitą ani co do stopnia, ani co do jasności, ani co do terminów, ani w ogóle nieuzgodnioną. Nie o tezę więc chodzi, lecz o pewną dyspozycję, tendencję, skłonność wspólną wielu dzisiejszym katolikom. „*Une attitude*“ — nazywa ją w swym komentarzu O. Bocheński.

Równocześnie z tym, tendencją irenizmu jest ustąpienie z tradycyjnej terminologii. Terminologie głosi Encyklika, można oczywiście ulepszać, ale Kościół nie przyjmuje każdej z

Zyto coraz niżej chyliło swe ociążałe kłosa, tu i ówdzie w miejscach żyzniejszych, a obfitszych wilgocią wyległo, a po ostatniej burzy pogmatwało się, dotykając ziemi swymi bujniejszymi kłosami.

Wiatr wprawdzie nadal próbował je fałować, lecz przychodziło mu to trudniej. Szył jeszcze przez pole siwawo-żółte fale, czasem bławatkami przetkane, szył jednak majestatycznie, z godnością i powoli, śląc wdzięczne swe pokłony Stwórcy, a gospodarzowi zwiastując bliskie spełnienie jego calorocznej pracy.

Gdzieś tam niby lepsze sływnie, dumnie i wysoko wywyższyły się niektóre kłosa ponad inne, jak by z pogardą patrząc na tamte znuzone ciężarnym dźwiganiem, pochylone w zadumie ku ziemi. Wiatr łatwiej na wszystkie strony je pochylał; darmo by wskazę ptak lub człowiek szukał w nich pożytku...

Przeziórki w żytnej gęstwinie wolały „pyć-pylić, pójdzcie żać, pójdzcie żać“. Z trwogą jednak obserwowały gospodarza, który coraz to obchodził swe pole, zanurzał się brudnymi pomiędzy żytnie fale, zrywał pojedyncze kłosa i, łamiąc wydobywane z nich ziarenka, coś złowieszczo zamyslał.

Od „krasowania“ czyli kwitnienia żyta do żniwa mija okres około 6 tygodni, tym krótszy im większe jest nasłonecznienie, a szczególnie, jeśli w okresie „nalewania“ żyta, czyli kształtowania się ziarenka, jest okres „przekropek“ z przejściowymi ciepłymi deszczami i jeśli Bóg łaskaw uchroni od gradu, tak częstej plagii rolnika.

Jest to najpiękniejszy okres lata, gdy pola srebrzą się żytem, zielenią jarzami zbożami, gdy kwitną łąki, pierwszą daninę spłacając rolnikowi. Idąc między polną miedzą, pośród szumnych wolań fał, tu i tam niebieskim chabrem upiękuszonych — myśl biegnie gdzieś w bezbrzeża zagadnień istnienia, wyczuwając obecność Stwórcy i wszechzależność ziemi od Niego.

dnia na dzień zmieniającej się terminologii: ta, której używa, oparta jest o wielką tradycję i poparta powagą Soborów. Przyjmować coraz to inne słownictwo, „które dziś jest, a jutro jak kwiat polny przemienie“ — jest to, według słów Encykliki, „robić z samego dogmatu trzcinę wiatrem pochylaną“.

Papież podkreśla jeszcze pogardę dla nieomyślnej władzy nauczycielskiej Kościoła i ostrzeżenie przed uważaniem jej jedynie za hamulec z zapoznaniem pozytywnej jej roli, dodając, że do nauki głoszonej przez Stołicę Apostolską odnoszą się słowa Chrystusa: „kto was słucha, mnie słucha“.

W stosunku do Pisma Świętego ireniści osłabiają jego powagę wracając do dawno potępionej tezy, że tylko to w nim jest wolne od błęd, co dotyczy Boga oraz spraw moralności i wiary.

Można by ten ustęp Encykliki w pewnym przybliżeniu przedstawić mówiąc, iż Papież widzi irenizm w tendencji współczesnych teologów do osłabienia znaczenia dogmatu, do porzucenia wypracowanej terminologii i tradycyjnej filozofii, do osłabienia powagi Kościoła i Pisma Św. „Te nowości wydały owoce we wszystkich prawie dziedzinach teologii“; dalej Encyklika wylicza szczegółowo błędy w rozmaitych dziedzinach nauki teologicznej, wynikające z podkopania dogmatu, z dowolności terminologii i niedoceniania powagi nauczającego Kościoła i Pisma Św.

IV

Czwarta część Encykliki poświęcona jest filozofii i przejawom irenizmu wśród filozofów katolickich. We wstępie Papież podkreśla znaczenie prawdziwej filozofii, bez której nie są możliwe zdrowe pojęcia teologiczne.

„*Kościół zawsze bardzo dba o rozum ludzki, szczególnie by dowieść na pewno istnienie Boga jedynego i osobowego, by potwierdzić podstawy wiary katolickiej przez nauki, by prawem, włożone przez Twórcę w duszę ludzką, prawidłowo wyrazić, by dość do wysokiego rozumienia tajemnic Bożych. Tylko umysł odpowiednio ukształcony może się na to zdobyć; dlatego musi on być przyjęty i zdrową filozofią, która jest jakby dziedzictwem przekazanym przez Ojców i mającą potwierdzenie Urzędu Nauczycielskiego Ko-*

Kiedyś w letnie przedpołudnie na międzyżytnej między leżalem, wchłaniając szmer falującego żyta, wsłuchując się w wielobarwność głosów naszej polnej przyrody, gdy o kilka kroków wyskoczył na miedzę zając, a później drugi i trzeci. Przykucnęły, zbliżyły się i siedząc na tylnych łapkach, przednimi zaczęły się wzajemnie bić, później borykać, strzyc uszkami, popychać. Leżałem nieruchomo z zapartym tchem, przyglądając się ich zabawie.

To falujące zboże było ich królestwem, rozkoszą ich młodzieńczych dni, ogrodem ich pierwszej miłości...

I oto człowiek, ku swej korzyści, miał zniszczyć to rozedrgane tysiącem pieśni królestwo...

Uchwycenie właściwej pory rozpoczęcia żniwa — wymaga doświadczenia. Gdy ziarno już się „naleje“ — dorosnie w swym właściwym kształcie, musi być na tyle mocne, aby, chociaż jeszcze miękkie, to jednak rozciśnięte w palcach „nie dawało mleka“, a przelamywało się, mimo, że mocno musi siedzieć w swym wąsatym kłosie. Zboże zżęte w tym czasie, stojąc przez kilka dni w sнопach, złożonych w przewiewnych mendlach, wysycha w polu, a ziarno mało się kurczy, bo ze swych źdźbeł, pomimo zżęcia, pobiera dostateczną ilość soków.

Dalsze zwlekanie grozi sypaniem się ziarna. I tu jest przewaga zwykłego żniwa ręcznego lub maszynowego nad kolektywistycznym kombajnem, wymagającym do żniwa zboża suchego. aby się od razu młócić i nie grało w zasiaku, nabierając stęchlizny i tracąc swą zdolność kiełkowania.

Przytrzymane zbyt długo, sypie się zboże za kombajnem, dając niepowetowane straty.

Zażyłki bywały najczęściej w sobotę. Podobno najlepiej udaje się żniwo rozpoczęte w tym dniu.

U nas, między Niemnem a Dźwiną, zazwyczaj po południu szły kobiety w pole, w miejscu słonecznej wystawy,

kościół. Ta filozofia, przez Kościół uznana i przyjęta, broni wartości prawdziwej i szczerzej wiedzy ludzkiej i nie-wzruszonych zasad metafizycznych: zasady racji dostatecznej, zasady przyrzeczności i zasady celowości — oraz tezy o zdolności do osiągnięcia pewnej i niezmiennej prawdy“.

W skład tej filozofii, naucza Papież, wchodzi rzecz, które mogą ulegać zmianie, ale podstawowych jej zasad, wyżej wzmiankowanych, Kościół nie pozwala naruszać. Prawda bowiem, raz osiągnięta, prawdą zostaje i postęp polega na dodawaniu nowych prawd do tych, co były dawniej osiągnięte, nie zaś na ustawicznym ich zmienianiu. Kościół żąda też od przyszłych teologów studium filozofii „*in*

Po tym podkreśleniu wartości niezmiennej filozofii, kulturowanej w Kościele, Papież wskazuje na błędy niektórych uczonych katolickich, którzy uznaną przez Kościół filozofię u-

WIKTOR HUGO

Z KSIĘGI

*Cios szpady; tak, lecz nie szpady
Poeto szranków czystych, d
Walk, gdzie w dłoni miecz, b
Twarz w warz i pierś przy
Ty, słuszności obrońca, o
Ty chcesz zwyciężyć w d
Przerazający, dziki i g
Byś, gdybyś padł a miecz
Mógł napotkać, zstępując
Cyda, Bayarda i ich wyrag*

Przełożył

ważają za przestarzałą; którzy są zdania, że nasza filozofia niesłusznie sądzi, iż może istnieć bezwzględnie prawdziwa metafizyka; którzy sądzą, że rzeczy transcendentalne najlepiej wyrazić można przez sprzeczne, lecz rzekomo uzupełniające się teorie; którzy naszą filozofię uważają za pozytywny wstęp do teologii, lecz nie za myśl odpowiadającą naszym czasom; którzy jej zarzucają, że zajmuje się niezmiennymi istotami, gdy dziś nas interesuje zmienne istnienie. Tak gardząc tą filozofią, kulturową im-

FELIKS LUBICZ

ŻNI

gdzie żyto bywało dojrzalsze i przeważnie się, sierpami zaczynały żąć, stawiając jeden 10-snopowy mendel, lub sześć mendli — całą kopę. Ale najważniejszą czynnością tego dnia było zżęcie „gospodarza“ — czyli pierwszego małego sнопka, często związanego nie jednym, lecz dwoma lub trzema przewiązami.

Wieczorem uroczyście, ze śpiewem, niosły go żnieje z pola, wręczając gospodarzowi i z kolei przewijając świeżym zbożem gospodarza i członków jego rodziny, składając życzenia pomyślnych i obfitych zbiorów.

Ten żaynkowy sнопek „gospodarz“ umieszczony w mieszkaniu swego gospodarza na honorowym miejscu, często pod świętymi obrazami, czekał dnia, w którym, rozpoczynając zwózkę z pola, w stodole ma być pokropiony wodą święconą i włożony w torbę wraz z pierwszym wozem zboża, wjeżdżającym w tym roku. A wówczas na progu stodoly kładzie się srebrną monetę dla tego, kto pierwszy wwiezie ów wóz. Gospodarska gorzałka pod chleb z kielbasą podochocha wracając do domu żnieje, a pieśń ich w ciszy wieczoru niknie gdzieś daleko, zagłuszana pobliskim świerceniem koników polnych.

Tak w pogodną letnią sobotę odbywały się żaynki u nas, tam, gdzie szacunek człowieka do zboża był wielki, gdzie kromkę chleba, upadłą na ziemię, „calowano“...

*Jutro dzień święta
Niwa niezęta
Niechaj spokojnie dojrzewa,
Niech wiatr swawolny,
Niech konik polny,
Niechaj skowronek tam śpiewa...
...Po polu, jak kolorowe maki rozsiane pomiędzy zbożem, uwijały się*

O IRENIZMIE

dawne i nowe, wschodnie i zachodnie systemy i podsuwają mniemanie, że każda filozofia z pewnymi poprawkami, może się zgodzić z dogmatem katolickim. „Co jest zupełnym fałszem, jeżeli chodzi o immanentyzm, idealizm, materializm historyczny i dialektyczny, egzystencjalizm — czy o wyznający bezbożność, czy sprzecznym z myślą metafizyczną”.

Jest godnym uwagi ten ustęp, zwalczający twierdzenie o możliwości pogodzenia dogmatu katolickiego z każdą filozofią: była już o tym mowa w ustępie o teologach-irenistach w III części Encykliki. Tu Papież powraca do tej samej tezy od strony filozofii: równa się to podkreśleniu, że teza o możliwości pogodzenia dogmatu katolickiego z każdą filozofią jest błędem zarówno filozoficznym, jak i teologicznym.

Papież wskazuje też na błędy tych, którzy zarzucają naszej filozofii zbyt ni racjonalizm, podczas gdy w istocie

potrzebę rozróżnienia pomiędzy faktami dowiedzionymi a hipotezami i ostrzega przed przyjmowaniem hipotez sprzecznych wprost lub ubocznie z prawdami objawionymi. Omawia kolejno trzy teorie, dotyczące pośrednio prawd wiary: ewolucjonizm biologiczny, poligenizm i niektóre teorie historyczne z przekazami starego Testamentu.

Ewolucjonizm, ograniczony do spraw biologicznych, dotyczący pochodzenia ciała ludzkiego — z tym że dużą rolę tworzy bezpośrednio — nie został potępiony. Natomiast poligenizm, przeczący pochodzeniu człowieka od jednego praojca Adama, nie może być przez katolików przyjęty. W dziedzinie historii nie wolno przyjętych historycznej wartości Księgi Rodzaju.

VI

Zakończenie poświęcone jest sposobom walki z szerzeniem się tendencji irenistycznych. „Wiemy — pisze Ojciec św. — że nauczający w zakładach katolickich są przeważnie wolni od tych błędów, wynikających z zamiłowania do nowości lub z niepomiarkowanego ducha apostołostwa. Wiemy jednak, że nieostrożni mogą być ku tym błędom pociągnięci”.

Poleca więc Papież aby „obstawiać przy zasadach”.

Poleca też Biskupom i Przełożonym zakonnym czuwać, by „tego rodzaju opinie” nie były szerzone. Nauczycielom przypomina, że gdyby się tych zasad trzymać nie chcieli, to nie mogą z czystym sumieniem dalej nauczać. Zachęca ich do jak najdłuższych badań w wykładanych dziedzinach, ale przypomina że „pociągna do Kościoła dysydentów i błądzących nie przez błędny irenizm, ale przez przedstawienie całkowitej prawdy, żyjącej w Kościele, bez odchylenia i przeinaczenia”.

Nie ma zatem w stosunku do irenistów, do katolików dotkniętych tendencją do ustępstw z rzeczy istotnych lub ważnych „sankcji karnych”, jest tylko ostrzeżenie i polecenie dla wyższych przełożonych by czuwali i nie dali irenizmowi się szerzyć.

Bogata ta w szczegółach treść Encykliki została tu przez nas przedstawiona sumarycznie, w zarysach głównych, z pominięciem rozmyślnym wielu ważnych i ważkich szczegółów. Wystąpienie Papieża przeciwko irenizmowi

wi, przeciwko tendencjom kompromisowym ze strony Kościoła, jest niezmiernie ważnym faktem historycznym.

Geneza Encykliki — potrzeba, która wywołała jej wydanie, jest niewątpliwie szerzenie się niebezpiecznej ugodowości wśród katolików w stosunku do wszystkich teorii niekatolickich, łącznie z materializmem nie tylko historycznym, ale i dialektycznym: przy czym trzeba było istotnych łamańców ze strony katolickiej, by stworzyć pozór możliwości oddzielenia materializmu od bezbożnictwa. Tendencje te znałszy aż nadto dobrze; Spory o to, czy można „ochrzcić komunizm”, czy można stosować „materializm historyczny” jako „robotniczą hipotezę” przy studiach — były przedyskutowane i rozstrzygnięte jeszcze na „Tygodniach Społecznych” Odrodzenia w Lublinie przed 1930 rokiem. Uniwersytet Wileński był tym środowiskiem, gdzie ta sprawa była rozważana, i rozstrzygnięta po katolicku. Potem głównym ośrodkiem irenizmu stała się Francja; tam tendencje do pogodzenia wiary katolickiej z filozofią komunistyczną łączyły się z interesem burżuazji gotowej na wszystkie kolaboracje z komunizmem dla utrzymania resztek majętności (jednym z przedstawicieli tego kierunku, łączącym irenizm filozoficzny z „appeaserstwem” politycznym, był tu, w czczech wielu, p. Jacques Maritain; jednakowo próby znalezienia bezpośrednich aluzji w Encyklice do jego teorii nie są przekonujące). Jasne postawienie się przeciwko irenizmowi jest w pewnej mierze dalszym ciągiem bezkompromisowego stanowiska, zajętego przez Kościół wobec komunizmu.

Nie bez powodu wyraża się tu opinia, że Encyklika jest również przygotowaniem terenu na jedną z ewentualnych możliwości dalszego rozwoju wypadków politycznych. Może dojść do walki zbrojnej świata jeszcze wolnego z komunizmem, walki, której nie należy uważać za beznadziejną; ale może być i inna ewentualność, mianowicie — ewentualność poniechania walki przez państwa demokratyczne lub ich klęski w tej walce. Kościół znalazłby się wówczas sam na przeciw potęgi komunistycznej obejmującej świat: walka musiałaby być prowadzona pod uciskiem komunistycznym i jedyną bronią byłoby jasne, bezkompromisowe do najdalszych szczegółów, stanowisko katolików wobec przemocy państwowej, jak w pierwszych wiekach chrześcijaństwa. Encyklika ma między innymi na celu przygotowanie katolików na tę właśnie ewentualność. Jest ona zapowiedzią, że z sojusznikami, czy bez nich, Kościół walczyć będzie aż do zwycięstwa, choćby był postawiony wobec konieczności „fare da sé”.

Wreszcie, zasługuje na podkreślenie specjalna w tej chwili doniosłość Encykliki dla krajów, w których już panuje Moskwa i gdzie katolicy mogą walczyć tylko przez bezkompromisowe obstawienie przy zasadach Kościoła. Tam irenizm prowadzi do rozłamów wśród katolików, a jego potępienie będzie przyjęte przez Kościół walczący o swoją treść i swoją istotę jako

PAWEŁ ZAREMBA

ZJAZDY PARTII BRYTYJSKICH

Socjalistyczny premier W. Brytanii, o którym powiedział kiedyś Churchill, że mu przypomina owcę w owczej skórze, może się jednak pochwalić, chociaż chwalić się nie lubi, że nie nie wyprowadzi go z równowagi. Polityk o typie wodza, w typie Churchilla powiedzmy, prowadząc nawet państwom w czasach tak dla świata niebezpiecznych jak ostatnie kilka miesięcy na pewno usiłowałby poruszyć swoje społeczeństwo i na patelni ogólnego niepokoju upiec jakąś pieczeń dla swojej partii. Attlee i jego rząd postąpili inaczej. Z tak zwaną flegmą angielską wykorzystali zaprzętliwie umysłową sprawą koreańską na dwie rzeczy.

Jedną było wykonanie planu socjalistycznego w zakresie nacjonalizacji stali, której zgodnie przeciwstawiali się konserwatyści i liberalowie, z nadąsającą miną zarzucając Partii Pracy, iż nie powinna tak ważnej sprawy przeprowadzać w oparciu o większość kilku zaledwie głosów w parlamencie i w obliczu wypadków o tak kolosalnym znaczeniu na arenie międzynarodowej.

Socjaliści zarzut ten przyjęli w milczeniu i swoje zrobili.

Drugą sprawą było załatwienie kwestii zbrojeń, które, gdyby nie Korea, nie dałoby się przeprowadzić bez silnego oporu w łonie własnej partii. Na dorocznej konferencji Partii Pracy w Margate odezwało się kilka symbolicznych głosów protestu ze strony chronicznych pacyfistów o kilku „towarzyszach podróży”, nie wywołały jednak one absolutnie żadnego wrażenia. Słowa Bevana, który po raz pierwszy bodaj w swej karierze pozwolił sobie z pasją mówić o Wyszyńskim i o Sowietach w ogóle, przyjęte zostały jako stwierdzenie faktu nie wymagające żadnych wyjaśnień i tłumaczeń.

Żywoł Parlamentu, któremu zapowiedziano zgon od pierwszego dnia po wyborach, przedłużyć się, może nawet do wczesnej wiosny przyszłego roku. Attlee oświadczył spokojnie, że znikoma większość jaką dysponuje w Izbie Gmin wystarczy mu do rządzenia. Jest to duża niespodzianka dla całej opinii — niespodzianka przykra dla bar dziej radykalnej góry Partii Pracy, grupującej się wokół Aneurin Bevana, która uległa wzmocnieniu w Margate przez wybór dwóch przedstawicieli lewicy partyjnej — Mikardo i Driberga — do Komitetu Wykonawczego. Bevan jest jak wiadomo przeciwnikiem taktyki Attleego a zwłaszcza ugodowych posunięć Morrisona. Rozumieć należy, że dyscyplina partyjna kazała mu przycichnąć na okres trwania parlamentu o tak wątpliwą większość socjalistycznej jak parlament obecny. Utemperowanie jednak polityka, który rok temu potrafił jeszcze głosić, że wszystkich nie-socjalistów w Anglii uważa za coś gorszego od „robotstwa” nie jest rzeczą łatwą, doprowadzenie zaś do sytuacji, w której Bevan nawołuje do ostrożności i wypowiada się przeciwko nacjonalizacji przemysłu budowlanego, graniczy z prawdziwym majstersztykiem ze strony cierpliwego i pozbawionego zupełnie cienia błyskotliwości premiera.

Tegoroczna konferencja w Margate była właściwie przedstawieniem dość nudnym i bezbarwnym. Program na najbliższą przyszłość zakreślony został bardzo wstrzemięźliwie i poowijany w watę bez przekonania wygłaszanych komunałów i sloganów politycznych. Sprawy najistotniejsze dla życia wewnętrznego Anglii dzisiejszej załatwione nie zostały. Zamrożenie plac trwał nadal, choć się zapowiada, że się coś da zrobić dla najniższych grup zarobkowych. W przemyśle już znacjonalizowanych wytknięto wszystkie typowe zle strony etatyżacji nie zapowiadając ani szybkiej poprawy ani nawet nie przeprowadzając poważnej dyskusji na ten temat.

Dyskusja tego typu, rzecz jasna, jest niebezpieczna. Robotnik angielski przekonuje się na niejednym odcinku, że przejście własności przez państwo, zwłaszcza gdy i związek zawodowy jest związany na sto procent z polityką partii, która w tej chwili państwem rządzi, niewątpliwie nie wychodzi na dobre kapitalizmowi, nie wiele jednak bezpośrednich korzyści przynosi jemu i jego rodzinie. Na tym tle sprawa „nieoficjalnych” strajków skierowanych w równym stopniu przeciwko właścicielowi — państwu jak i własnemu związkowi zawodowemu staje się chyba prawdziwą piętą Achilleasa pierwszej próby wprowadzenia socjalizmu na pełną skalę w ustroju demokratycznym, jak to ma miejsce w Anglii. Nie wystarczy tu mówić o wpływach jawnych i tajnych komunistów, które są oczywiste. Nie wystarczy nawet zapowiadać represje, jak uczynił to stary górnik Isaacs, obecny minister pracy, komuniści wyzyskują niebezpieczeństwo przemiany związku zawodowego na organ rządzącej partii, lecz nie oni go wywołują. Cierpi społeczeństwo i cierpi robotnik, jak na przykład w czasie ostatniego „nieoficjalnego” strajku autobusów londyńskich i gazowni. Robotnikowi nie wystarczy wiadomość, że państwo którym rządzi przez partię do której należy, jest jego pracodawcą i że wobec tego nie ma sensu strajk przeciwko samemu sobie. W Sowietach ten „bezsens” tłumaczy się robotnikowi przy pomocy argumentów właściwych sowieckiemu ustrojowi. W kraju wolnym nie bardzo jest czym to wytłumaczyć. Sytuację tę wykorzystać pragną konserwatyści. Ich zjazd doroczny odbyły w Blackpool bezpośrednio po zjeździe socjalistów w Margate oznaczał się dużą aktywnością dołów partyjnych, i elementu młodego, który przeprowadził nawet niektóre postulaty taktyczne wbrew woli góry. W swoim czasie pisaliśmy na tych łamach, że konserwatyści za wszelką cenę będą musieli starać się oddziaływać na robotników i nie rozbijając związków zawodowych rozbijając jednak ich spójnię ideologiczną i organizacyjną z Partią Socjalistyczną. Wydaje się, że dużo w tym kierunku zrobiono o ile wierzyć zapewnieniom robotniczych delegatów na zjeździe w Blackpool. W sprawie ożywienia ruchu budowlanego w każdym razie konserwatyści „przelicytowali” socjalistów.

Podtrzymanie i umocnienie. Podniósł to również w swoim komentarzu, użytym od strony filozoficznej, O. Inocenty Bocheński.

W końcu zaznaczyć trzeba, że Encyklika jest przygotowaniem do ogłoszenia nauki o Wniebowzięciu N. M. Panny. Jedną z ważnych cech tego aktu jest właśnie to, że podnosi on do poziomu dogmatu prawdę, wśród katolików niesporną, lecz nieznaną przez innych chrześcijan, podkreślając anty-irenistyczne, anty-kompromisowe stanowisko Kościoła.

LIRYCZNEJ

VIII

sztyletu. Trzeba ci
czł. zaś dumnych i
cz. bez węzowego jadu,
czy piersi, będziecie tak stali
— zapaśnik piekła;
ż. jak ten co się nie lęka,
dł. czysty,
cz. ci by z ręki wyprysnął,
cz. w niezgłębioną ton,
cz. pogniętą dłoń.

MIĘCZYSLAW LURCZYŃSKI

przynawała ona woli i uczuciom wpływ na myśl ludzką. W zakończeniu Papież podkreśla tendencje do osłabienia dwóch zasadniczych działów filozofii: teodycei i etyki.

V

Po wymienieniu w III i IV części Encykliki przejawów irenizmu w teologii i filozofii, w V dziale Ojciec św. przechodzi do irenizmu u katolickich uczonych w naukach „pozytywnych”, tam gdzie one stykają się z prawdami wiary. Podkreśla przede wszystkim

jąc płytkie skiby podorywki... Kończyło się zniwo.

Ostatnia „postać”, czyli jednorazowo przez żagłę żniej obsadzony kawał zboża nikt lub żniwiarka ostatnią pozostałość w środku pola scinała. Jeszcze słońce było wysoko, a już w żniwnej pieśni raz w raz powtarzał się refren:

„Siahonia u nas dożynoczki
Budzia mnoho harcloczki...“
lub w okolicach Dolkinowa, a kiedyś i w Mińszczyźnie śpiewano:
„Uzo wieczór wieczereje
Pan nasz młody wiesieleje
Po postaci pojeżdżaje
Swoje żniejki podhanajaje
— Żniecie, żniejki, żniecie
Sami siabie nie poźniecie...“

Co sprytniejsze dziewczęta wily wianek z kłosów żyta, a czasem i innego zboża, jakie do tego czasu żęto. Wpływały wienki i ku wieczorowi, gdy ostatnie mendlle w rzedach stanęły, barwny korowód z ukoronowaną wiankiem królową na czele, wkrczał w podwórze, śpiewając:

„Plon niesiemy, plon,
W gospodarza dom...“
Gospodarz witał korowód u wejścia w podwórze lub na ganku, przyjmował od królowej wianek, dziękował i zapraszał na obfity, gorzałką przekropiony poczęstunek.

Różną wiejską kapela, zacinając skrzypce porwała do tańca harmonia.

Gospodarz musiał pierwszy zatańczyć z królową dożynek polkę lub walcica i na równym podwórzu lub w izbie do późna trwała zabawa.

Dawna tradycyjna „lawonicha”, mimo swego żywego tempa z przyspiewkami „A lawonicha moja, a szalonaja była hu ha!” coraz mniejszym cieszyła się powodzeniem. Walec i melodyjne tango utorały i tu swą popularność. Jeszcze kadryl, czyli kontredans, bywał w programie.

Tak podobne do łowickich nasze dawne białoruskie stroje, niemal cał-

kowiec zaniknęły. Męskie marynarki i sukienki panienek niczym się już od miejskich nie różniły. A szkoda, zanikał charakterystyczny regionalny koloryt naszej wsi.

W okresie dwudziestolecia niepodległości udało się naszym organizacjom rolniczym dokonać paru pomyślnych prób odzworzenia regionalnych kostiumów ludowych. Widziałem gdzieś w Mołodzieczanskim wydobycie z kufców wyprawne „anderaki” gdańskie sprzed 150 lat, dochowane przez prawnuczkę wiejskiej elegantki. Połączone z pasiastymi spódnicami uyskały w dniu „święta pieśni” pierwszą nagrodę w postaci bezpłatnego udziału w wycieczce do Gdyni...

... Kiedyś byłem na dożynkach daleko na Zmudzniu, w Rosieńskim.

Tam przyniesiono wianki na talerzach, większy dla gospodarza, a mały dla członków jego rodziny. Śpiewano „Rutenie”, a na przyjęciu dla żniwców, również wódką zakrapianym, królowały na stole „szupienie”, czyli silnie okraszona kasza jęczmienna ze studzienką roztopionego tłuszczu w pośrodku, w której tradycyjnym zwyczajem musiał być wetknięty świński ogon — myślę, że chyba wzdrony z serem — ulubiona potrawa litewska. Grażios mergaites (piękne dziewczęta) były uroczę, jednak wiała od nich jakaś melancholijna tęsknota.

I pieśni tych ludzi z nad Niemna, Dubisy, Dźwiny i dorzecha Dniepru, były pełne tęsknoty, zwątpień i zawodów miłosnych.

Może nasz smętny, rozległy krajobraz, może czarujące w księżycowej poświacie fale naszych rzek i jezior, może okalające je rozśpiewane słowicze gaje olchowe, lub bory, są tego przyczyną...

A może wieki częstych walk i zmagania tego kraju, może długa niewola swe piętno wycisnęła...

... Kraj ten tak łatwo pokochać, a zapomnieć nie sposób...

WA

znieje, to nachylały się, zagarniając garść zboża, to wysoko je podnosząc kładły na „żnienie”, aby szybkim ruchem je związać.

Lipcowe słońce pieściło ich ogorzałe twarze i ręce, lecz one zdawały się nie czuć znużenia.

Hańka zawsze pierwsza, zaradna, zbudowana zgrabnie, w swej białej w zielone grochy chustce, wciąż wysforowywała się naprzód, intonując coraz nowe pieśni. Za żnieniami podrostki znosiły snopy w rzędy. Najczęściej sam gospodarz je ustawiał, liczył po dziedwieć, środkowemu „zarzucał grzywę”, a ten dziesiąty aż do przewiasła rozchyłał dookoła, kładąc jako czapkę, aby deszcz nie zalewał ustawionego mendi, obchodził rzędy, równał czapki, liczył kopy.

Z dworskiego pola dolatywał łoskot żniwiarki, z nad horyzontu bliskiego pagórka, pokrytego rosnącym jeszcze żytem, migwały skrzydła maszyny, unosiły się miarowo jakby na ułamek sekundy się zatrzymywały, aby raz w raz zesnuwać „żnienie” i znów nachylały nawiśnięte kłosy.

Żniwiarka obchodziła dookoła pole, obrzuwała krawędź stojącego zboża, a miarowym swym łoskotem oszalała trwożnie czające się tam małe zajaczki. Często, przerażone łoskotem w coraz to zmniejszającym się półku zboża, w ostatniej chwili rzucały się one do ucieczki, nieraz w nieubłaganych nożach żniwiarek tracąc życie...

Długie linie mendli równały się w polu jak plutony, kompanie, baony. Czasem któremuś wiatr zesunął czapkę na bakier, czasem rozwichrzył pukiel kłosów, źle przez żniwiarkę ułożony, w artystycznym nieładzie powiewał spod niej, a już pomiędzy mendlami szły znowu plugi, odrzuca-

Listy do Redakcji

Wyjaśnienie

Szanowny Panie Redaktorze,

W związku z uwagami pisma Pańskiego w artykule p. t. „Dwa stanowiska w sprawie Wyrwy“ („Orzeł Biały“ z 30 września b. r.) powołującymi się na mój artykuł w sprawie Wyrwy umieszczony w detroickim „Dzienniku Polskim“, jako na głos dziennikarza polsko-amerykańskiego, o którym ja przedtem wspominałem w moim liście do „Dziennika Polskiego“ w Londynie — pragnę wyjaśnić, że powołując się w tym liście na głos dziennikarza polsko-amerykańskiego, w obronie Wyrwy na łamach detroickiego „Dziennika Polskiego“, nie miałem oczywiście na myśli siebie i mojego artykułu, ale

red. Karasiewicz, starego i zastępczego dziennikarza polsko-amerykańskiego, który na łamach „Dziennika Polskiego“ z Detroit umieścił niedawno kilka ostrych artykułów stwierdzających, że p. Yolles nie reprezentuje opinii Polonii amerykańskiej, potępiającej Wyrwę.

Przy sposobności pragnę wyjaśnić, że nie uważam się za dziennikarza polsko-amerykańskiego, ale za dziennikarza tylko polskiego, którym już pozostanę do końca życia.

Łączę wyrazy poważania

(—) Kl. Hrabek.

New York, 13. 10. 1950.

Wiadomości gospodarcze z Polski

GOSPODARKA ZBOZOWA

W całym kraju odbywa się intensywny „skup zboża“. Celem gospodarczym tej akcji jest jak największe zgromadzenie zboża z nowych plonów w magazynach państwowych i podanie tych rezerw pełnej dyspozycji rządu komunistycznego. „Skup zboża“ posiada jednak również wielkie znaczenie polityczne. Władze zmierzają do ogólcenia wsi z ziarna, czyniąc w ten sposób wieś polską bardziej podatną dla kolektywizacji.

Jednocześnie trwają gorączkowe przygotowania jesienne dla wykonania zwiększonych planów produkcyjnych na rok 1951. Siewy jesienne mają być wykonane na obszarze blisko 6,5 miliona ha. Dąb-Kociół, komunistyczny minister Rolnictwa i Reform Rolnych oświadczył w wywiadzie prasowym, że w r. 1951 Polska zamierza uzyskać plony co najmniej o 10 proc. wyższe niż przy ostatnich żniwach.

... I RZECZYWISTOŚĆ NA WSI

Tymczasem na wsi, mimo niedawnych zbiorów, przejawia się... brak chleba. O braku tym donoszą m. in. z województwa krakowskiego korespondenci „Dziennika Polskiego“. W N-rze 247 tego dziennika zjawisko to komunistki usiłują wytłumaczyć w sposób zgola naiwny i zabawny. Oto dowodzi się, że brak chleba na wsi jest wynikiem tego, że chłopcy „domowe wypiekanie chleba uważają za nieekonomiczne, a ponadto bardziej smaczny chleb produkowany w piekarni“. Dalej „Dziennik Polski“ pisze dosłownie: „Ponieważ zjawisko to wystąpiło w województwie niespodziewanie szybko i masowo, na rynku chlebowym wyłoniły się zrozumiacie (sic!) trudności. Piekarnie sektora uspołecznionego i prywatnego, mimo iż pracują całą parą, nie mogą pokryć zapotrzebowania. Co prawda w mieście pieczywa nie brakuje i nikt z tego powodu nie cierpi (sic!), jednak na wsi odczuwa się niedostatek. Chłopi, posiadając mąkę, uchylają się od wypieku jedynego dlatego, by oszczędzić drzewo opałowe, pracę gospodyni domu, a również i dlatego, że nie chcą już kruszyć zębów o czerstwy domowy chleb“.

Słowem, mimo posiadania zboża (czyżby!) oszczędza się na wsi na wypieku chleba aby nie psuć zębów, czekając na smaczne pieczywo z kolektywnych piekarni!

ZWIĘKSZONA PRACA DLA STALINA

W obliczu zwiększonych zadań planu 6-letniego propaganda warszawska lansuje ostatnio rewizję umów zbiorowych pracy w kierunku zastąpienia umów branżowych umowami zakładowymi i walki ze „sztuwnością norm“. Umowy zbiorowe — pisze prasa komunistyczna w Polsce — a zwłaszcza ich czynnik podstawowy, normy, nie są czymś stałym i wiecznym; winny one ulegać zmianom mającym na celu zwiększenie wydajności pracy: dla rozwoju państwa socjalistycznego i „zabezpieczenia pokoju“ potrzebne są nowe, udoskonalone metody i formy organizacyjne.

Tymczasem, jak to stwierdza m. in. „Dziennik Polski“ Nr. 239, „władze związkowe wszystkich prawie związków zawodowych otrzymały i otrzymują nadal częste i różnorodne reklamacje w sprawie norm. Reklamacje te miały niekiedy charakter skarg na zbyt wysokie normy, b. trudne do wyrobienia“...

Trudno! Związek Sowiecki potrzebuje coraz więcej polskiego węgla, polskiej stali, wyrobów polskiego przemysłu tekstylnego, polskiego cukru i w ogóle wszystkiego, co da się w Polsce tanio „kupić“ za drogo sprzedawane surowce.

Zwiększeniu wydajności pracy mają też służyć m. in. zainicjowane ostatnio przez komunistyczny Zw. Młodzieży Polskiej t. zw. „Dni Korabielnikowej“. Sowiecka komсомолка, Lidia Korabielnikowa, miała podjąć współzawodnictwo w zakresie „pełnego i oszczędnego wykorzystania surowców“. Od niej przeto zaczyna się teraz nowa historia oszczędnej gospodarki surowcowej w Polsce.

REJESTRACJA INŻYNIERÓW I TECHNIKÓW

W myśl ustawy z dnia 18 lipca w całej Polsce rozpoczęto z dniem 1-go października rejestrację inżynierów i techników. Rejestracja, prowadzona przez około 300 biur, trwać będzie do 20-go października. Kto uchyli się od rejestracji lub poda nieprawdziwe dane odnośnie dowodów osobistych, miejsca pracy itp. — podlega karze aresztu do 3-ch miesięcy i grzywny do 100 tys. złotych.

Na podstawie wyników rejestracji władze zamierzają dokonać przesunięć inżynierów i techników do działów, których rozbudowę uważa się za szczególnie ważną.

BRAK SUROWCÓW

Przed paru miesiącami została zarządzona zbiórka zużytych tub cynowych, dokonywana w tej formie, że zwrot zużytej tuby wymagany jest przy zakupie produktu w tym opakowaniu. Na tym tle dochodziło do licznych nieporozumień przy zakupie pasty do zębów. Ministerstwo Handlu Wewnętrznego wyjaśniło, że w wypadku niemożności dostarczenia zużytych tub, nabywca obowiązany jest złożyć kaucję w wysokości 50 zł. od tuby, za odpowiednim pokwitowaniem.

Ukazało się też rozporządzenie ministra Handlu Wewn. z dnia 18 sierpnia 1950 r. w sprawie zwrotu opakowań szklanych. Rozporządzenie to postanawia m. in., że hurtownie przedsiębiorstw uspołecznionych zobowiązują umownie sklepy detaliczne do prowadzenia skupu opakowań szklanych pod rygorem wstrzymania dostawy towaru.

HANDEL ZAGRANICZNY

W połowie września podpisano w Budapeszcie nową umowę handlową na rok 1951 między Polską i Węgrami. Polska ma dostarczać Węgrom węgiel, koks, szyny kolejowe, żelazo walcowane, chemikalia i maszyny, otrzymując w zamian aluminium, produkty farmaceutyczne i autobusy.

Według depeszy Reutera z dnia 25 września, komunistyczny radca handlowy polski w Londynie, Albert Morski, zaproteściwał na konferencji prasowej przeciwko zakazowi eksportu pewnych ważnych dóbr inwestycyjnych i środków uzbrojenia z W. Brytanii do Polski. (Jak wiadomo, sprawa ta podniesiona była w Parlamencie brytyjskim przez Churchilla). Zapowiedziany w dniu 18 września w Izbie Gmin zakaz wywozu tych środków, Morski określił jako „jaskrawe naruszenie zobowiązań umownych“. Jeśli rząd brytyjski nie wykona polsko-brytyjskiej umowy handlowej z dnia 14 stycznia, rząd polski będzie się widział zmuszonym do zastosowania odwetu.

PO ŚWIECIE

5 KRES. DYW. PIECHOTY

Dwie dzielnice Polski łączy 5. Kresowa Dywizja Piechoty, a mianowicie — drogie każdemu sercu WILNO i zawsze wierny LWÓW.

Zołnierze tej dywizji, po przymusowym rozbrojeniu, poszli do pracy, do życia cywilnego. Ale mimo tylu przeciwności i zawodów, jest dzień, w którym ich serca biją żywiej i wszyscy, którym pozwala czas, pieniądź i odległość, zbierają się wspólnie obchodzić święto dywizyjne.

Program święta był tym razem skromny, ale za to jaskrawo wymowny.

Na „Poranek“ przybył Prezydent R. P. August Zaleski oraz szef rządu R. P. i przedstawiciel Gen. Insp. S. Z. gen. W. Andersa — gen. R. Odzierżyński. Przybyli liczni przedstawiciele społeczeństwa, dowódcy bratnich dywizji, brygad, pułków i przedstawiciele szarej braci żołnierskiej, a potem wielu, wielu żołnierzy Wilna i Lwowa.

Powitano Pana Prezydenta hymnem narodowym. Po powitaniu Pana Prezydenta gen. N. Sulik mówił pięknie o naszej roli w dobie obecnej, o konieczności skupienia się przy legalnym Prezydencie i rządzie R. P., by stworzyć bryłę stalowych serc i woli.

Następnie por. B. Mintowt-Czyż wygłosił referat historyczny.

W części artystycznej p. J. Domańska recytowała wiersz i prozę Lechonia.

Na tym program „poranka“ wyczerpano i wszyscy przeszli do Instytutu Historycznego im. gen. Sikorskiego.

Uroczystość rozpoczął gen. Sulik — wygłaszając przemówienie. Wskazał on na Sztandar 5. Kresowej Dywizji Piechoty, który został poświęcony na Grobie Chrystusa w Jerozolimie. Wzwał obecnych, by oddali hold wszystkim żołnierzom WILNA I LWOWA, którzy w marszu do Polski oddali swe życie, po czym powiedział — „My Żołnierze Kresowej Dywizji, złożymy hold Matce Najświętszej w Ostrej Bramie w Wilnie, pochylając ten właśnie Sztandar przed Jej Obrazem. Wejdziemy do zawsze wiernego Lwowa z rozwiniętym sztandarem, by wziąć w posiadanie ziemię zawsze Polska“.

Gen. R. Odzierżyński w imieniu Gen. Insp. S. Z. mówił o drodze do Polski, o wierności dla niej i o potrzebie współpracy wszystkich Polaków bez względu na ich zapatrywania polityczne.

Potem znany artysta p. R. Kiersnowski deklamował swój utwór pod tytułem „Rzeczpospolita“.

Teraz nastąpiło odczytanie Deklaracji Kresowej Dywizji Piechoty. Uczył o to por. Sobolewski. Chór Wojska Polskiego odpiewał pieśń „Bogu Rodzica“, a potem zabrzmiała pieśń obywatelska „O Panie, któryś jest na niebie“.

Gen. Sulik dziękował serdecznie gościom, chórowi i artystom za uświetnienie uroczystości, potem wszyscy udali się na uroczyste nabożeństwo, które odbyło się w Brompton Oratory. Mszę św. na intencję żołnierzy Wilna i Lwowa odprawił nowowyświęcony ksiądz, były więzień obozu w Dachau.

O godz. 15 odbyła się Rada Delegatów Kół Oddziałowych Kresowej Dywizji Piechoty. Program zebrania został wyczerpany po 5-godzinnej debacie. Poruszano różne sprawy, rzeczowo i obszernie. Dyskusje dały wszystkim uczestnikom duże zadowolenie, ponieważ, nawet w sprawach gorących był umiar i wzajemne zrozumienie.

Mimo szumnej propagandy rzekomo „wielkich i bezinteresownych“ dostaw sowieckich, komunistom warszawskim bardzo zależy na dostawach... z krajów zachodnich.

„SABOTAŻ“ WŚRÓD LEKKOATLETÓW

W szale rozpetanych w kraju przez władze zobowiązań produkcyjnych dla uczczenia „pokoju“ i 1 maja, padło m. in. 18 zobowiązań złożonych przez trenerów, dotyczących wyników, które mają osiągnąć szkoleni przez nich sportowcy. M. in. Gieruto „zobowiązał się“ przygotować Adamczyka do pobicia rekordu Polski w dziesięcioboju.

Po odbytych w końcu sierpnia zawodach prasa z ubolewaniem stwierdziła, że Adamczyk nie odegrał roli, jakiej się po nim spodziewano. Najprawdopodobniej po prostu... „sabotaż“!

TARG NIEWOLNIKÓW

(Korespondencja własna „Orla Białego“)

Przygoda zaczęła się w lipcu. Około dwustu uchodźców polskich w Norwegii, którzy swego czasu na zapytanie IRO dokąd zamierzają emigrować odpowiedzieli „do Australii“, otrzymali pilne pismo, wzywające do stawienia się na własny koszt w Kopenhadze przed Australian Visa Team. Nie każdemu przyszło łatwo opłacić podróż, termin był krótki, ale nadzieja na wydostanie się z Norwegii, której „gościna“ doprowadziła już niedługo do zubożenia do zimmego szachu, dodała tęgiego bodźca i starym polskim sposobem „zastaw się a postaw się“ pozwoliła zmobilizować potrzebny na przejazd tam i z powrotem gotówkę. Pojechała więc spora gromada Polaków.

Kopenhaga, jak Kopenhaga, owszem, zawsze bardziej europejska niż małe, brudne i nudne Oslo, dziewczęta wprawdzie brzydsze, ale za to sklepy wypchane wszelkiego rodzaju towarami. Od Coca-Cola do bajkowych francuskich jedwabów. Do wyboru i do koloru. Ten i ów z Polaków kupił to i owo, położył po czystych i szerokich ulicach, przylepiając się wzrokiem do wspaniałych wystaw, a niemylnym instynktem kierowany zawsze szczęśliwie trafiał tam, gdzie można było smacznie zjeść i tanio wypić. W barakach IRO również uszło: wsi ani pluskiew nie było nawet na lekarstwo, pościel skąpa ale czysta, jedzenie możliwe.

Czarne, zle godziny przyszły dopiero wtedy, kiedy trzeba było spowiadać się przed ponurym szefem australijskiej ekspedycji polowu niewolników. Tytułował się on konsulem, pardon, „panem konsulem“ i nosił dźwięczne „istinno“ germańskie nazwisko Lederer. Podobno po niemiecku mówił lepiej niż po angielsku. Operował również zapasem kilkudziesięciu słów, które w jego przekonaniu należały do języka rosyjskiego. Poza tym używał „psiakrew“ i „do cholery“. Utalentowany lingwista.

Pan konsul z miejsca potraktował każdego delikwenta polskiego, mężczyznę, jak przestępcę, i to takiego, dla którego dozwolonym hołosem mógł być tylko św. Krzyż, a kobietę jakby najlepsze lata jej życia upłynęły — powiedzmy delikatnie — na Chmielnej.

Procedura tego rodzaju trwała dość długo; już co najmniej setka dipisów wyszła z gabinetu pana konsula przybita, zmaltretowana, poniżona; dopiero pewna Polka, władająca biegle angielskim, potrafiła okiełzać srogiego reprezentanta kraju kangurów. Po drugiej czy trzeciej obeldze porwała się z krzesła niczym kniahinia Kurcewiczowa, łupnęła pięścią w biurko, poprawiła parasolkę po papierach, wywaliła kilka soczystych epitetów w najczystszej gwarze East-Endu, obróciła się z godnością i wdziękiem na pięcie, huknęła drzwiami i wyszła. Wrażenie było piorunujące. Wspaniała kobieta jeszcze nie zdążyła wyciągnąć puderniczki — gdy drzwi uchyliły się i przed falującym biustem wzburzonej Polki pochylili się w głębokim ukłonie samże pan konsul Lederer. Zdalenie autentyczne.

Po naucze z dzielną Polką pan konsul po trosze zmieł i przynajmniej nabył wyraźnie nie dawał do zrozumienia, że uważa rozmówcę za niebezpiecznego anarchiste, złodzieja i nieroba. Wzajemna indagacja potoczyła się w spokojniejszej atmosferze; nikt jednak nie dowiedział się od pana konsula w którym zakątku Australii wylądował ostatecznie, jaką dostanie pracę, jakie wynagrodzenie, ja kbędzie z mieszkaniem itp.

Stereotypowe informacje pana konsula brzmiały po krótko następująco: „Jedziecie do pracy i pracować musicie, wynagrodzenie, oczywiście, dostaniecie, gdzie was ulokują, w mieście, na farmie czy w dżungli, tego nie wiem do cholery, czy każdy otrzyma pracę w swoim zawodzie — to wątpliwe, z mieszkaniem jest źle, podpiszecie na miejscu kontrakt pracy na dwa lata, po tym możecie sobie robić, co się wam podoba, psiakrew“.

Nie było to ani jasne, ani zachęcające, mimo to większość Polaków, wzwanych do Kopenhagi, zdecydowała się odbyć tę podróż w nieznaną, podróż na nowy etap tułaczy, nowe trudy, może ponowne rozczarowania i zawody, ale może też by znaleźć i zarządzić wreszcie to, czego na próżno szukano przez pięć lat w Norwegii:

Oslo, w październiku 1950.

spokój myśli, równowagę ducha, zadowolenie z pracy i możliwości zdobycia wyższej pozycji socjalnej. Najsilniejszym magnesem stała się możliwość urzędowania się po dwóch latach według własnej woli, sil, środków i umiejętności. W Norwegii i po dwudziestu latach jest to dla cudzoziemca nieosiągalne. Etatyzm, reglamentacja i biurokracja doszły w tym małym państwie i ubogim kraju do perfekcji.

Drugi akt przygody rozegrał się pod koniec września. Ci, którzy przyjęli twarde warunki australijskiego łowcy niewolników, zostali ponownie wzwani do Kopenhagi, tym razem już na koszt IRO, skąd po pięciodniowym pobycie powieziono ich do Bremen, a stamtąd via Neapol (zmiana statku), Port-Said i Colombo popłyną do Australii. Podróż obliczona jest na 6 tygodni.

Akt trzeci i chyba ostatni wypadnie na ziemi australijskiej. Tam dopiero dowiedzą się wszyscy o swoim przeznaczeniu użytkowym w Australii. Prawdopodobnie są zarówno przykre, jak i przyjemne niespodzianki. Na ogół wiadomości z Australii nie są odstrasżające. Polacy, którzy wybrali ten kontynent na końcowy przystanek swojej drogi powrotnej do Kraju, pisała, że jest to teren dużych i wdzięcznych możliwości dla tych, którzy chcą i potrafią pracować. Start może być co prawda ciężki i trudny, lecz dalsze perspektywy są korzystne.

Powrót do Kraju jest niewątpliwie celem i pragnieniem każdego Polaka na obczyźnie, ale terminu nikt nie zna. Przewidzieć go nie sposób. Moc wiary w powrót do wolnej Polski nie może być spazona przez złudny, bezmyślny optymizm. Rozumnie i uczciwie, zarówno wobec siebie, jak tym więcej wobec drugich, jest nie liczyć na powrót już jutro, lecz raczej w odległe pojutrze, tymczasem zaś szukać, walczyć i budować sobie na dzień dzisiejszy i na jutro dogodne warunki przetrwania. W Norwegii tych warunków Polacy nie znaleźli i nie znajdują.

Jan Kunert

Skarb Narodowy

Z Głównej Komisji Skarbu Narodowego komunikują:

Główna Komisja Skarbu Narodowego zawiadomiła wszystkie Komisje Terytorialne i inne ognia organizacyjne Skarbu Narodowego, że w ostatnich tygodniach bieżącego roku, nastąpić winno zaopatrzenie wszystkich posiadaczy legitymacji Skarbu Narodowego w nowy dokument, umożliwiający wklejanie znaczków na następnym okresie rocznym. Początkowo myślnano o wymianie legitymacji na nowe, okazało się jednak w korespondencji z licznymi ośrodkami polskimi, że obywateli wplacających na Skarb Narodowy chcą zachować wydane im pierwsze legitymacje Skarbu Narodowego, jako pamiątkę i dowód wypełnienia obowiązku względem Państwa w ciężkich warunkach na emigracji.

Wobec tego legitymacje nie będą odbierane i wymieniane na nowe, ale uzupełniane wkładką na rok 1951, po uprzednim skasowaniu przez władze Skarbu Narodowego znaczków wplaconych w 1950 r. i nalepionych na legitymacje z tego okresu czasu.

Dla uniknięcia zwłoki w powrotnym przesłaniu wszystkim posiadaczom legitymacji uzupełnionej wkładką — co mogłoby nastąpić, gdyby wymiana dokonana była przez wszystkich w ostatniej chwili — Główna Komisja Skarbu Narodowego zwraca się zarówno do ognia organizacyjnych Skarbu Narodowego jak i do poszczególnych obywateli z prośbą o możliwie szybkie podjęcie akcji wymiennej.

Przypominamy, że legitymacje i znaczki Skarbu Narodowego można otrzymać codziennie od godz. 10-ej do godz. 20-ej w lokalu Komisji Skarbu Narodowego na W. Brytanii — 74, Cornwall Gardens, S. W. 7., tel. WESTERN 8324.

Wpłaty z poza W. Brytanii można Komisji Skarbu Narodowego — 74, Cornwall Gardens, London, S. W. 7., lub do National Bank Ltd. — Bayswater Branch — 70, Gloucester Gardens, London, W. 2. na konto „Skarb Narodowy — Główna Komisja“ (po polsku).

Człowiek który jest mocarstwem

(Wydarzenia i uwagi)

Zdawałoby się, że wydarzenie jest jak najbardziej zwykłe. Prezydent Stanów Zjednoczonych, który jest równocześnie głową państwa, szefem rządu i naczelnym wodzem sił zbrojnych, chce wysłuchać opinii jednego ze swych generałów. Ponieważ generał ów jest akurat zajęty kierownictwem działań wojennych w odległym kraju, Prezydent nie wyzywa go do stolicy, lecz wyznacza miejsce spotkania niezbyt odległe od kwatery głównej generała.

Spotkanie gen. MacArthura z Prezydentem Trumanem miało charakter zupełnie odmienny od takiego normalnego wzoru. Było to spotkanie równych sobie, a nie raport podwładnego u przełożonego, jak formalnie powinoby być. Nie trzeba samemu wysłać się na szukanie wyrazów dla wyrażenia niezwykłości tego spotkania. Wystarczy przejrzeć kilka dzienników, a w każdym znajdziemy dowody jak dalece to wydarzenie oddziało na ludzią wyobraźnię: „Naczelny Wódz Sił Zbrojnych Stanów Zjednoczonych spotyka się z Naczelnym Wodzem Wojsk Narodów Zjednoczonych” — pisze jeden korespondent. W innym dzienniku czytamy: „Spotkanie Prezydenta z jego prokonsulem na Pacyfiku wygląda prawie jak międzynarodowa konferencja między dwoma rządami”. Dziennikarz amerykański donosi z Honolulu: „To jest prawie tak, jakby głowy dwóch państw zjechały się w punkcie leżącym w równej odległości od ich stolic, by uzgodnić swoje zagraniczne polityki, które poważnie się różniły w ciągu kilku ostatnich lat”. Nigdy zaś nie uganianiają się za sensacją i efektem „The Times” — widzi coś dramatycznego w spotkaniu tych dwóch ludzi, którzy nigdy dotychczas nie widzieli się, bo MacArthur nie był w swoim kraju ani razu w ciągu ostatnich kilkunastu lat, które przyniosły mu światową sławę. „Teraz — pisze „Times” — skromny cywil, o spokojnych manierach, który jest głową najpotężniejszego państwa na świecie, ma spotkać się z silną indywidualnością woda, którego zakres osobistej władzy należy bardziej do czasów starożytnego rzymskiego imperium, niż do naszych”.

TRUMAN I MACARTHUR

Spotkanie już się odbyło. Z ogłoszonych komunikatów trudno zorientować się, czy sprawdziły się obawy kół niechętnych MacArthurowi. Obawy rozdziły się stąd, że już sporo ludzi jedździe z Waszyngtonu do Tokio, by tłumaczyć MacArthurowi politykę rządu i wszyscy wracali nawróceni na jego punkt widzenia. Ten punkt widzenia wyraża się podobno w tym, że MacArthur jest zwolennikiem oddania przez politykę amerykańską pierwszeństwa Azji przed Europą. Takie ujęcie jest na pewno skrajnym uproszczeniem strategicznych poglądów „wielkiego woda i męża stanu”, jak określił MacArthur sam Truman. MacArthur na pewno nie uważa, że można z czegokolwiek ustąpić Rosji w Europie. Sądzi tylko, że nie należy z niczego ustępować w Azji, lecz że

można nawet tam coś wygrać. Poza tym jest widoczne zdania, że pozycja komunizmu w Rosji i w Azji wcale nie jest tak przytłaczająco mocna, jak to przyjęto myśleć w kolach defetystycznych oraz sprzyjających Rosji. Być może zauważył on, że w ciągu tysiącletniej historii Rosja była pobita ora podbita gruntownie i na długo tylko raz — i to przez Mongołów idących z azjatyckich stepów, a z atakami ze strony Europy potrafiła się zawsze uporać. No, ale to tylko taki domysł autora tych uwag.

Gdy ukażą się one w druku, będzie już znana treść mowy Trumana w San Francisco. Z ogłoszonych przedtem niezbyt wielomównych komunikatów wynikałoby, że ci dwaj ludzie, słusznie lub niesłusznie uważani za wyrazieli dwóch przeciwnych poglądów w sprawach dalekowschodniej polityki, rozstali się w całkowitej zgodzie. Bo czyż istotnie ich poglądy są przeciwstawne? W Stanach Zjednoczonych istnieją prądy defensywne, kapitulacyjne i „appeaserskie”, ale są również dynamiczne i ofensywne. MacArthur jest wyrazieliem tych ostatnich. Zadaniem Trumana, jako szefa rządu, jest wyśrodkowanie polityki, by była ona oparta przez cały naród. Sam Truman nie należy do ludzi bojaźliwych. Wykazał on ducha walki w czasie wyborów, gdy nikt nie wierzył w jego wygraną. Zbrojne przeciwstawienie się komunistycznej agresji w Korei było jego decyzją, wbrew poglądom wojskowych, łącznie podobno z MacArthurem. W ogóle posiada on dużo moralnej odwagi. Interesował się zawsze wojskowością, za młodu przeczytał wszystkie książki na ten temat znajdujące się w bibliotece jego rodzinnego miasta i lubi wojskowych. MacArthur mógł mu przypaść do gustu jako człowiek bardzo prostolinijny

AZJA NIE BĘDZIE WYDANA ROSJI

W komunikacie prezydenta powiedziano, że omówiono sprawę Korei. Japonii oraz obszaru Spokojnego Oceanu. O Formozie i Indochinach nie wspomniano. MacArthur, wróciwszy do Tokio (swojej „stolicy”), wydał również komunikat, w którym oświadczył, że spotkanie z Prezydentem sprawiło mu wielką przyjemność i podkreślił, że „Wizyta Prezydenta na Pacyfiku powinna wywołać wielki entuzjazm na całym Dalekim Wschodzie. Będzie ona rozumiana, jako wyraz mocnego postanowienia, że póki będzie zapewniony i że Azja będzie wolna, a nie niewolnicza”.

To ostatnie zdanie świadczyć może jedynie, że Stany Zjednoczone nie dopuszczą do opanowania Azji przez sowieckie wpływy. Wizyta Trumana na wyspie Wake nie miała znaczenia tylko symbolicznego. Człowiek rozumie na prawdę tylko to, co przeżył, a umie tylko to, co choć raz zrobił. Skłoniwszy Trumana do przelotu dwóch trzyczęści Pacyfiku, MacArthur dał mu sposobność zdobycia zwycięstwa zagadniętej strategii wielkich odległości, a więc dał mu nieco nowych, osobiste przeżytych elementów, do oceny istniejącej na tym obszarze sytuacji. Ludzie siedzący po stolicach mogą nie mieć wyuczenia, że scena obszaru Pacyfiku jest dziś zupełnie inna, niż 10 lat temu. Dziesięć lat temu Ameryka, patrząc na Zachód, miała przed sobą obrzydliwy Ocean upstrzony japońskimi wyspami. Za wroga Japonii znajdował się azjatycki kontynent, a na nim przyjazne Chiny i raczej sprzyjająca Rosja. Dziś potęgą amerykańską po zdruzgotaniu Japonii jako mocarstwa morskiego, usadowiła się w Japonii sama. Uosobieniem i wcieleniem amerykańskiej ziemno-wodnej potęgi

na tym obszarze jest MacArthur. Siedzi on w Tokio. Za plecami ma Ocean, na którym niepodzielną panuje marynarka wojenna i lotnictwo jego kraju. Przed sobą, tuż tuż, ma azjatycki kontynent, a na nim wroga Rosję i nieprzyjazne Chiny. Siłą rzeczy amerykańska polityka w swoim obecnym stosunku do Azji musi przejąć bardzo wiele z japońskiego stosunku do tego kontynentu. Jeżeli Truman nie przyjął do wiadomości nie z odnośnych argumentów MacArthura, byłoby to jedynie dowodem, że nie on nie rozumie ani z polityki, ani ze strategii. A tak, zdaje się, nie jest.

WYSZYNSKI ZLAGODNIAŁ

O. N. Z. uchwała, a Stany Zjednoczone głoszą, że żadnych baz amerykańskich na Korei nie będzie i że wojska Narodów Zjednoczonych będą stamtąd wycofane po zorganizowaniu tam rządu i ustaniu operacji wojennych. Nie będzie to wielką pociechą dla Rosji. Wojna koreańska wykazała, że Koreańcy są narodem bitnym i wojskowo uzdolnionym. Na przyszłość można liczyć, że zorganizowana i uzbrojona należąca koreańska armia potrafi stawić czoło, nie tylko Chińczykom, ale i Rosji dostatecznie długo, by mogła przybyć amerykańska, a zapewne również i japońska, pomoc z sąsiedniej Japonii. Rosyjska pozycja na Dalekim Wschodzie wcale nie jest bardzo mocna, przynajmniej pod względem ofensywnym. Sowieckie prowincje leżące nad Oceanem Spokojnym, mają tylko 4,5 milionów mieszkańców, podczas gdy Korea ma 30, a Japonia 80. Odległość od Uralu wynosi blisko sześć tysięcy km. Linie kolejową łatwo jest zniszczyć. Sowiecka armia na tym obszarze liczy podobno 500 tysięcy, lecz zaopatrywanie jej jest trudne. Koreańscy komuniści stracili w walkach ok. 1000 czołgów, które prawdopodobnie pochodziły z zapasów sowieckiej armii. Wyszyński przemawia więc dziś bardzo łagodnie i skarży się na amerykańską „agresję”, bo widocznie Rosji nie stać tam teraz na prawdziwą agresję. Cała Korea stanie się więc, tak czy inaczej, przyczółkiem mostowym Zachodu na wschodnich brzegach Azji.

NOWE TROSKI O INDOCHINY

W komunikatach nie wspomniano o Indochinach, chociaż trudno puszcząć, by o nich nie mówiono. Francuskie niepowodzenia w tym kraju wyraźnie niepokoją Amerykanów, ponieważ jest to jeden z bardzo ważnych obszarów strategicznych w Azji. Zapewne polityka amerykańska wykorzystająca francuskie niepowodzenia w równoczesnym przetargu o zbrojenie Niemiec Zachodnich. Francja sprzeciwia się amerykańskim planom i żądaniom w sprawie Niemiec. Indochiny są przykładem, mogą powiedzieć Amerykanie, oddawania przez państwo europejskie pierwszeństwa Azji przed obroną Europy. Mówi się obecnie, że Francja sprzeciwia się tworzeniu niemieckich wojsk nie tyle z obawy przed Niemcami, lecz z obawy, że Niemcy będą partą do przekreślenia obecnego stanu rzeczy w Europie. Mamy więc tu do czynienia ze ścieraniem się dążeń dynamicznych z pragnieniami utrwalenia obecnego stanu rzeczy.

Rozmowa Truman—MacArthur nabrała cech dramatycznych, bo zogniskowały się tam: ścieranie się potężnej dynamiki Stanów Zjednoczonych z dynamiką Rosji; a ponadto gra dyplomatyczna, potrzebna do utrzymania przymierza St. Zjedn. z krajami Europy Zachodniej i partyjna walka wyborcza w St. Zjedn.

Europa Zachodnia jest wyczerpana, statyczna, chce stać na miejscu i tylko się bronić, by ustabilizować obecną sytuację. Ale czyż Europa potrafi powstrzymać dynamikę St. Zjedn. i Rosji

od starcia się? Europa może tylko rowi. Na pewno przed wyborami Trumanie starcie odwlec na jakiś czas i prawdopodobnie odwlecze. Truman postanowił przemawiać w San Francisco do publiczności patrzącej na Daleki Wschód i sprzyjającej MacArthurowi. (S. K.)

ECHA MANIFESTACJI W DETROIT

(Dokończenie ze str. 1)

nie zostaną odwołane ugody, które skrzywdziły wolne narody oddając je na pastwę wrogów wolności”.

Wśród niebываłego entuzjazmu odczytano następnie depeszę od gen. MacArthura, który nadesłał życzenia dla zebranej w Detroit Polonii. Gen. MacArthur — jak wiadomo — jest wypróbowanym przyjacielem Polski. Pełne przyjaźni i zrozumienia dla sprawy polskiej przemówienie wygłosił z kolei b. ambasador amerykański w Warszawie Anthony Drexell Biddle. Stwierdził on, że był osobiście świadkiem spisku hitlerowsko-bolszewickiego przeciwko Polsce.

W największym skupieniu zebrani wysłuchali następnie Orędzia Prezydenta R. P. Augusta Zaleskiego nagranego na płycie gramofonowej i skierowanego specjalnie do Polonii ze Stanu Michigan. Prezydent R. P. dziękował m. in. Polonii Amerykańskiej „za przyczynienie się do rozwiązania problemu wysiedleńców wojennych, tak drogiego sercu wszystkich Polaków”.

Po wysłuchaniu Orędzia Prezydenta Rzeczypospolitej zabrał głos przedstawiciel Prezydenta Stanów Zjednoczonych Trumana p. Oscar R. Ewing. Zaraz na wstępie powitał on generałów Sosnkowskiego i Andersa przypominając ich zasługi wojenne. Oddawczy hołd pamięci Pułaskiego zaznaczył, że „stoimy dziś w obliczu niebezpieczeństwa grożącego ludzkości, cywilizacji, religii i wolności, niebezpieczeństwa spowodowanego przez agresję komunistyczną. Wspomnił, że gdy Polacy wyzwalali się własnymi siłami spod jarzma niemieckiego, mieli to do szczęścia, że dostali się potem pod jarzmo Rosji”. Na zakończenie mówił jeszcze o walkach żołnierza polskiego i o bitwie o Monte Cassino, gdzie dowodził gen. Anders.

MOWA GEN. WL. ANDERSA

Kiedy przewodniczący obchodu poprosił gen. Andersa do wygłoszenia przemówienia, wszyscy powstałi z miejsc i zgotowali Generałowi długotrwałą owację.

Oto kilka fragmentów z przemówienia gen. Andersa:

„Co dziś tu chcę wam powiedzieć, to są myśli i uczucia tysięcy i tysięcy Polaków w kraju i na uchodźstwie, żołnierzy i cywilnych. To są myśli prawowitego Prezydenta Rzeczypospolitej i Rządu Polskiego...”

„My chcemy żeby Polacy w Polsce byli tak samo wolni i szczęśliwi jak są Amerykanie w Ameryce.”

„Listy z Polski mówią nam, że Polska żyje nadzieją wyzwolenia. Polska rozumie, że tylko Ameryka może ją uratować.”

„W Polsce nikt dziś nie mówi o partiach, a wszyscy myślą tylko, jak odzyskać wolność. Oczy Polscy zwrócone są na Amerykę ale i na was, Polono! Kraj zdaje sobie sprawę, że jesteście Amerykanami lojalnymi dla Stanów Zjednoczonych. Ale wie, że wysłicie z tego samego pnia macierzystego, że wykarmilo was mleko z piersi polskiej matki. Więc musicie kochać wolność, „Ale to, że Polacy kochają wolność, jeszcze nie wystarczy.”

„Gdzie się bowiem podziela Polska jako natchnienie narodów.”

„Żołnierz polski nie rozumie, dlaczego po tylu krwawych walkach, po tylu poświęceniach i ofiarach z życia polskiego — nie może wrócić do Polski.”

„Wierzę mi, że nie będzie Polski wolnej, jeśli żołnierze polscy nie wprowadzą swych sztandarów do Polski.”

„Pamiętajmy o jednym wolny nasz sztandar wędrował przez liczne kraje,

przez ląd i morza, aż dotarł do Londynu, On tylko rzadzi narodem, On jest dziś pod opieką legalnego Prezydenta Augusta Zaleskiego.

„Rozumiemy, że wszystko, co Rosja głosi przeciwko temu Rządowi, jest fałszem, kłamstwem, podstępem. Ale są głupi, którzy te kłamstwa powtarzają. Jednak prawda jest jedna i niezwykła, tak jak jedna jest przysięga na wierność Polsce.”

„Cieszę się, że mogę tu być razem z generałem Kazimierzem Sosnkowskim, moim byłym dowódcą, moim przyjacielem i współtowarzyszem walk. Jedną nas łączy przysięga, że bronąc będziemy honoru i całości Rzeczypospolitej. W myśl tej przysięgi Polska musi być wolna i cała — razem ze Lwowem i Wilnem.”

„Śpiewamy pieśni i hymny narodowe. Mówimy o Częstochowskiej i Ostrobramskiej. A jeden tylko mamy dziś testament, obowiązujący wszystkich:

„Marsz do Polski odzyskanej, całej i niepodległej”.

„Tym okrzykiem — pisał „Dziennik Polski” w Detroit — zakończył generał Anders przemówienie. Każde jego słowo trafiało do serc słuchaczy. Ludzie płakali ze wzruszenia. Nic dziwnego, że za takim Wodzem tysiące żołnierzy polskich szło w bój najkrwawszy. I znowu pójdą — wciąż patrząc w zwycięstwo” — zaznaczało pismo polskie w Detroit.

PRZEMÓWIENIE GEN. SOSNKOWSKIEGO

Dłuższe przemówienie w języku angielskim wygłosił następnie gen. Sosnkowski. Jednym z tematów jego wszechstronnego i aktualnego odczytu politycznego było zagadnienie wojny prewencyjnej. Gen. Sosnkowski przypomniał m. in., że według wypowiedzi samych przywódców polityki sowieckiej nowa wojna światowa jest nie do uniknięcia. A jeżeli tak, rodzi się dla świata zachodniego pytanie, czy należy uciec się do wojny prewencyjnej. Jest to temat bardzo delikatny dla wszystkich, którzy głoszą demokratyczne hasła. Generał przypomniał, że Polska w przeszłości dwukrotnie proponowała zachodnim aliantom przedsięwzięcie akcji prewencyjnej przeciw agresji hitlerowskiej. Propozycje te odrzucono, gdyż demokratyczne mocarstwa były zdania, że rozpoczęcie wojny jest niezgodne z zasadami ich ustroju. I teoretycznie miały one rację. Wiemy jednak, ile ludzkość zapłaciła za zajęcie takiego stanowiska. Obecnie pytanie powinno być sformułowane w ten sposób: czy stosowanie zbrojnych środków prewencyjnych jest niedopuszczalne wobec stale zagrażającego agresora? Odczyt swój zakończył gen. Sosnkowski twierdzeniem, że zagadnienie czy cywilizacja chrześcijańska utrzyma się czy też zbliża się do upadku zależy przede wszystkim od amerykańskiej demokracji, od jej zdolności sprostanania zadań, które Opatrzność na nią nałożyła.

Ze Stow. byłych Sowieckich Więźniów Politycznych

Dowiadujemy się, że zarząd Polskiego Stowarzyszenia b. Sowieckich Więźniów Politycznych postanowił odwołać na posiedzeniu z dnia 11 października b. r. p. Jana Kwapińskiego ze stanowiska Prezesa Zarządu. Jednocześnie Zarząd powierzył pełnienie obowiązków Prezesa wiceprezowi, gen. K. Wiśniowskiemu.

PRENUMERATA z przesyłką pocztową (opłata za przesyłkę lotniczą w/g. taryfy, płatna z góry): W W. BRYTANII: szvingów: miesięcznie 4/4, kwartalnie 12/-, rocznie £2.0.5; przyjmujące: „Gryf” — Publications Ltd., 169-171, Battersea Church Rd., London, S.W. 11. Zmiana adresu 18. — W BELGII: miesięcznie: frb. 20, kwartalnie frb. 60. Zamówienia i należności przyjmujące: Mme. Roskiewicz, 44 rue Th. Vincotte, Bruxelles (Schaerbeck). Należność wpłacać na rachunek pocztowy: Mme. J. Roskiewicz, nr. 3172.28, podając swój dokładny adres. — WE FRANCJI: franków fr.: miesięcznie 100, kwartalnie 300, rocznie 1.200. Zamówienia oraz należności przyjmujące S-te „Libella” Librairie — 12 rue St. Louis en l'île — Paris IV. nr. konta pocztowego Paris cc 565150. — W HOLANDII: miesięcznie fl. 1,50, kwartalnie 4,50. Wpłacać przekazem pocztowym: Fr. Matecki, 17 Tulpenlaan. Bij Gelen (Limborg) — W NIEMCZECH: zamówienia i wpłaty przyjmujące: M. Gawuc, Księgarnia „Wiedza”, (13a) Schwandorf (Bayern), Bahnhofstr. 19. — W NORWEGII: koron: miesięcznie 3, kwartalnie 8, rocznie 32. Prenumeratę przyjmujące: Narvesens Kiosk Kompanii, Postbox 125, Stortingsgata 2, Oslo. — W PORTUGALII: kwartalnie 24 esc., rocznie 95 esc. Prenumeratę przyjmujące: A. Zieliński, Lisboa Central, Caixa Postal Nr. 110. — W SZWAJCARII

franków szw.: miesięcznie 1,50, kwartalnie 4,50. Należność za prenumeratę wpłacać białym czekiem pocztowym (mandat de poste interne) pod adresem: Fribourg 2. Case postale 19. — W SZWECJI: koron: miesięcznie 3, kwartalnie 8, rocznie 32. Prenumeratę przyjmujące Polski Komitet Pomozy, Jungfrugatan 30/II Stockholm. — WE WŁOSZECH: lirów: kwartalnie 500. Prenumeratę przyjmujące J. Grochowski, via della Croce 81/8 Roma. Należność wpłacać przekazem pocztowym. — W ARGENTynie: kwartalnie 19,50 peso, półrocznie 39 peso. Prenumeratę przyjmujące: J. Miecznikowski i T. Dąbrowski, Libreria Polaca, Av. Leandro N. Alem 641, Buenos Aires. — W BRAZYLII: kwartalnie Cr. 35, półrocznie Cr. 70. Prenumeratę przyjmujące: W SAO PAULO — H. Mueller, Rua Consolacao 3625; w stanie PARANA — Z. Kietlińska, Av. Batel 1514, CURITIBA. — W AUSTRALII: prenum. kwart. 15shA — przyjmujące: „Vistula” (Australia) Pty., Ltd., 77 Pitt St., Sydney, oraz Adam Syriatowicz, Immigration Centre, RUSHWORTH, Victoria, prenumerata kwart. £0.15A, roczna £2.17.6, opłata kwartalna za premie £0.7.6A. — W KANADZIE: kwart. dol. 1.60, półrocznie dol. 3. Prenumeratę przyjmujące: Polska Agencja Książek i Czasopism, 85, Front St. E. Toronto, ONTARIO, CANADA. — W POLUDNIOWEJ AFRYCE:

kwartalnie 12/-, rocznie 45/-. Prenumeratę przyjmuje bezpośrednio „Gryf”, Publications Ltd. — W STANACH ZJEDNOCZONYCH: kwart. dol. 1,50, półrocznie dol. 3. Prenumeratę przyjmują: L. Dudarew-Ossetyński, „Wilno”, 28471 Ventura Boulevard, Agoura P.O. Box 113, California — „Gryf”, W. Bienkowski, 808, Wager St., Utica N.Y. U.S.A. oraz Józef Białasiewicz, 2539, N. Sawyer Ave, Chicago 47, Ill. — OGŁOSZENIA na terenie W. Brytanii firma Carlton Berry Co., Ltd., Grand Buildings, Trafalgar Square, London, W.C.2. lub „Gryf” — Publications Ltd., 169-171, Battersea Church Road, London, S.W. 11. — CENA OGŁOSZEN. za jeden cal przez tam £1.

Nadesłanych rękopisów red. nie zwraca. Za treść ogłoszeń redakcja nie bierze żadnej odpowiedzialności.

Adres Redakcji „Orła Białego”: 514, Dean Road, London, N.W.2
Adres Administracji: „Gryf” — Publication Ltd., 169-171, Battersea Church Road, London, S.W. 11., telefon: BATTERSEA 0879.